

Małgorzata Walewska foto: z arch. Opery Krakowskiej

Małgorzata Walewska – premiera Carmen

Małgorzata Walewska – wspaniały polski mezzosopran, podziwiany na czołowych scenach operowych świata, wystąpi w Operze Krakowskiej. Znakomita artystka wcieli się w rolę Carmen. Opera G. Bizeta, bodaj najpopularniejsza spośród dzieł operowych, słynie ze znanych hitów i muzyki przemawiającej nie tylko wielbicieli tego gatunku. Krakowską „Carmen" reżyseruje Laco Adamik, natomiast kierownictwo muzyczne spektaklu oddano w ręce Tadeusza Kozłowskiego. Piękny głos i talent aktorski Małgorzaty Walewskiej gwarantują premierę na najwyższym światowym poziomie.

Kiedy: 5, 6, 7, 9 marca
Gdzie: Opera Krakowska
Bilety: +48 (12) 296 62 60 (61), www.opera.krakow.pl

Małgorzata Walewska – Carmen premiere

Małgorzata Walewska, the brilliant Polish mezzo-soprano who has won over the world's major opera houses, will we performing at the Kraków Opera House. Walewska will be singing the title role in Georges Bizet's best-known opera, Carmen, in March. This is a work full of famous arias and music that appeals to everybody, whatever their musical preferences. Carmen is directed by Laco Adamik and Tadeusz Kozłowski is its music director. Małgorzata Walewska's lovely voice and consummate acting ability guarantee a top-notch performance.

When: 5, 6, 7, 9 March.
Where: Kraków Opera House
Tickets: +48 (12) 296 62 60 (61), www.opera.krakow.pl

AIRBAG

NR 1

„Carmen zawsze jest dla mnie wielkim wyzwaniem"

Ze światowej sławy mezzosopranistką Małgorzatą Walewską, która wystąpi w Operze Krakowskiej w roli Carmen, rozmawia Joanna Weryńska

Kiedy po raz pierwszy zaśpiewała Pani partię Carmen?
15 lat temu w Operze Warszawskiej. Nie była to moja pierwsza propozycja zaśpiewania tej partii. Miałam jedną wcześniej, ale uznałam, że nie jestem do niej gotowa i odmówiłam. Głównie z obawy przed francuskojęzycznym tekstem.

Czym będzie się różniła Carmen, jaką zaprezentuje Pani w Krakowie, od tej pierwszej?
Przybyło mi lat i kilogramów. (śmiech)

To dlatego przed każdym wykonaniem tej postaci przechodzi Pani na dietę?
Zwykle tak, ale przed rozpoczęciem pracy nad Carmen w Krakowie miałam tydzień wolny. Spędziłam ten czas w Egipcie. Dokarmiali mnie tam takimi pysznościami, że nie byłam w stanie odmówić, więc z tą dietą będzie ciężko.

Takie życie diwy chyba musi być męczące. Cały czas w trasie, na walizkach...
Nie jest łatwo. Ale mam cygańską naturę i podróże uwielbiam. Mam w domu cztery „wypatroszone" walizki. Jedne rozpakowuję, inne pakuję. Przed wyjazdem do Egiptu miałam już spakowaną walizkę do Krakowa, bo wiedziałam, że nie będę miała czasu na pakowanie po powrocie. Teoretycznie łatwiejsze jest pakowanie się, kiedy opuszczam dane miejsce. Chyba, że ulegnę szałowi zakupów.

Często Pani ulega?
To jest moja reakcja na stres. Jestem uzależniona od zakupów.

Co najczęściej Pani kupuje?
Zależy w jakim jestem kraju. W USA obowiązkowo kupuję buty i sukienki koncertowe. Jest to kwestia bardziej łakomstwa niż potrzeby. Mam dwoje projektantów, z którymi współpracuję – Ewę Minge i Marcina Łobacza. W Krakowie też mam ulubione sklepy, ale na razie nie czas na zakupy. Muszę się skoncentrować na próbach.

Ma Pani za sobą już pierwsze z nich. Jakie są Pani wrażenia?
Znakomicie mi się współpracuje z reżyserem, Laco Adamikiem. No i bardzo zadowolona jestem z kostiumów Basi Kędzierskiej. Do roli Carmen ubierali mnie już w bardzo różne rzeczy. Kilka razy nawet wystąpiłam w spodniach. Projekty Basi są w zgodzie z tradycją, ale bez takiej cepeliowskiej przesady.

Carmen to Pani ulubiona rola?
Zasadniczo moją ulubioną rolą jest ta, nad którą pracuję, więc w tym momencie tak. Ale kreacją, na którą w tej chwili czekam, jest rola Dulcynei w „Don Kichocie", którą będę śpiewała w Seattle Opera. Co nie znaczy, że Carmen jest odcinaniem kuponów. Zawsze była i jest wyzwaniem, bo muszę przekonać widzów do swojej roli. Żeby to zrobić, sama muszę uwierzyć, że jestem w stanie być tą kobietą. Stąd moje diety. Agnes Baltsa śpiewała Carmen na swoje 60. urodziny, więc może pójdę jej śladem.

Współpracowała Pani m.in. z Pavarottim i Domingo. Jakie były Pani wrażenia?
Domingo jest przesympatycznym człowiekiem. Podobnie zresztą, jak był Pavarotti. Spotkałam go w 1992 roku, biorąc udział w konkursie wokalnym jego imienia, odbywającym się na jego rodzinnej Maderze. Cały czas nie wierzyłam, że to faktycznie wielki Pavarotti siedzi na sali i nas słucha. Przekonałam się o tym dopiero, gdy wyszłam na scenę i go zobaczyłam. Wszyscy byliśmy ogromnie zdenerwowani, a on był niesamowicie cierpliwy, nawet jeśli komuś coś nie wyszło mówił „Ty się dziecko nie denerwuj. Napij się wody i zaśpiewaj jeszcze raz". Śpiewając w finale byłam już w siódmym miesiącu ciąży, Pavarotti stał obok mnie i porównywaliśmy, kto ma większy brzuch. Wygrał! Potem w 1997 roku spotkaliśmy się już na scenie Opery Wiedeńskiej przy okazji spektaklu „Andrea Chenier". To było dla mnie fascynujące uczestniczyć w każdej próbie i chłonąć ten jego głos o barwie miodu. Pavarotti był autentycznym mistrzem bel canta. Jednak mimo całej otaczającej go sławy, potrafił mieć do siebie dystans. Pamiętam, jak w „Andrea Chenier" musiał stoczyć na scenie walkę na szpady i wtedy o mało nie umarliśmy ze śmiechu! Bo wcale nie był młodzieńcem! Sam się z siebie śmiał, jak przyszło mu zwyciężyć Renato Brusona.

Pani też jest sławna. Czy bywa to uciążliwe?
Nie. Uprawiam zawód usługowy, to usługi dla publiczności.

A jak mąż reaguje na Pani wielbicieli?
Zasadniczo jestem wierna. Zakochuję się w moich partnerach scenicznych i reżyserach, ale to jest miłość platoniczna na czas trwania produkcji. Poza tym dla mnie wielbiciele są wygodni. Są nimi zwykle lekarze i prawnicy, więc jeśli jestem na przykład chora, to dzwonię do wielbiciela i wszystko mam załatwione. Załatwiam wiele rzeczy szybciej niż pozostali członkowie rodziny, co jest dla mnie pewnym obciążeniem, bo często obarczają mnie różnymi sprawami.

Co tak szybko można załatwić?
Przedszkole dla dziecka w Wiedniu załatwiłam na zdjęcie z Pavarottim.



Małgorzata Walewska

Premiera

● **Premiera „Carmen" z udziałem Małgorzaty Walewskiej** odbędzie się 5 marca w Operze Krakowskiej. Spektakl reżysersko i scenograficznie przygotuje duet: Laco Adamik i Barbara Kędzierska. Autorką choreografii jest Katarzyna Aleksander-Kmieć.

GAZETA KRAKOWSKA
24-02-2010

Emocje muszą być PRAWDZIWE

ROZMOWA Z **MAŁGORZATĄ WALEWSKĄ**, ODTWÓRCZYNIĄ TYTUŁOWEJ ROLI W „CARMEN" GEORGES'A BIZETA, KTÓREJ PREMIERA W OPERZE KRAKOWSKIEJ ODBĘDZIE SIĘ 5 MARCA



Partię Carmen śpiewała Pani w swojej karierze już w dziewięciu różnych produkcjach. Czy nie odczuwa Pani rutyny, przygotowując się po raz kolejny do tej roli?

Przedstawienie w Operze Krakowskiej to moja dziesiąta, jubileuszowa inscenizacja „Carmen". Wracam do tej opery po dwuletniej przerwie – z nowym zapałem. Rola Carmen stanowi zawsze spore wyzwanie. Za każdym razem można wnieść do niej coś nowego i wykonać ją lepiej, np. lepiej zaśpiewać po francusku. Poza tym wykonanie tej partii jest po prostu zbyt trudne, aby móc popaść w rutynę. Trzeba kontrolować wokal, ruch, przydają się też inne umiejętności – np. gra na kastanietach. Carmen ma też charakterystyczny hiszpański styl, widoczny w postawie czy sposobie chodzenia. Pracuję nad tym, bo my, Słowianie, nie mamy tego niestety we krwi.

W 1997 roku śpiewałam partię Carmen w Operze Wiedeńskiej, w przedstawieniu w reżyserii Franca Zefirellego. Był to przykład niezwykle wiernego podejścia do oryginalnego libretta. A we Wrocławiu w 2005 roku brałam udział w całkowicie współczesnej inscenizacji w reżyserii Roberta Skolimowskiego. To było dość szalone spojrzenie na „Carmen". Takie podejście, muszę szczerze przyznać, bardzo mi się podobało i dobrze się przy tej interpretacji bawiłam. Za każdym razem, grając w „Carmen", pracowałam z innym reżyserem, odmienny był sposób inscenizacji i czegoś innego ode mnie oczekiwano.

Jaka będzie Carmen w przedstawieniu w Operze Krakowskiej?

Praca nad rolą to zawsze praca dwóch osób – artysty i reżysera, a efekt końcowy jest wypadkową wrażliwości artysty i tego, czego wymaga od niego reżyser. Z reżyserem „Carmen" w krakowskiej operze, Laco Adamikiem, bardzo dobrze się rozumiemy. Jeśli miałabym opisać Carmen w tym przedstawieniu jednym słowem, to przede wszystkim będzie ona prawdziwa. W „Carmen" musi być gra na prawdziwych emocjach, niczego nie można udawać. Bez względu na sposób inscenizacji – czy jest on tradycyjny, czy bardziej współczesny – relacje erotyczno-uczuciowe między mężczyzną a kobietą pozostaną takie same. Zawsze bardzo utożsamiam się z rolą, którą wykonuję, i jest dla mnie ważne, aby udało się przekonać publiczność, że emocje w przedstawieniu są prawdziwe.

Jak przygotowuje się Pani do roli? Przeczytałam w jednym z wywiadów, że gdy ma Pani w perspektywie śpiewanie Carmen, natychmiast przechodzi na dietę, bo „ta postać musi przekonywać nie tylko głosem; widz powinien uwierzyć, że jest młodą dziewczyną".

Z odchudzaniem tym razem był jednak problem. Przed rozpoczęciem prób byłam na wakacjach w Egipcie, gdzie była przepyszna kuchnia, i nie udało mi się schudnąć. Na szczęście kostiumy mogą ukryć pewne krągłości. W krakowskim przedstawieniu kostiumy – autorstwa Barbary Kędzierskiej – są zresztą wyjątkowo piękne. Mają klasę, są tradycyjne, ale nie w stylu Cepelii. Poza tym w Carmen jednak ważniejszy jest charakter i temperament niż waga.

Czy niepokorną Carmen można by nazwać prafeministką?

Myślę, że tak. Carmen jest wolna. Utwór Georges'a Bizeta to generalnie opera o wolności, także w odniesieniu do kraju, bo przecież jest tam tło rewolucyjne.

Paryska premiera „Carmen" w 1875 roku wywołała skandal...

... który wziął się stąd, że ludzie spodziewali się komedii, a okazało się, że finał opery jest tragiczny. Bizet się wtedy załamał.

I nie doczekał późniejszego gigantycznego sukcesu „Carmen". Bo Carmen stała się szybko jedną z najbardziej wyrazistych postaci wśród bohaterów opery, doskonale znaną także osobom niebędącym miłośnikami tego gatunku. Jak Pani sądzi, dlaczego tak się stało?

Muszę przyznać, że nie wiem. To dla mnie zagadka: co takiego jest w „Carmen", że stała się tak sławna? Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego nie stało się podobnie np. z „Aidą". Uważam, że jest wiele piękniejszych arii w innych operach. Według mnie, „Carmen" wcale nie jest najpiękniejszą operą na świecie! Proszę jednak spytać na ulicy „zwykłego" człowieka, dlaczego „Carmen" tak fascynuje. Ja nie jestem obiektywna. A jak znajdzie Pani odpowiedź, proszę się nią koniecznie ze mną podzielić.

Rozmawiała Ola Soboń-Smyk

Premiera „Carmen" G. Bizeta – 5 marca, g. 18.30.
Terminy spektakli: 6, 7, 9 marca, 14, 15, 16 maja.
„Miasto Kobiet" jest patronem medialnym krakowskiej inscenizacji „Carmen"



fot. Archiwum Gliwickiego Teatru Muzycznego

MIASTO KOBIET 2/2010 KRAKÓW MARZEC - KWIECIEŃ

Filmowe emocje Carmen

MUZYKA. „Carmen" Bizeta, o której mawiał Piotr Czajkowski, iż jest „jedną z najcudowniejszych oper naszych czasów", będzie miała premierę w Operze Krakowskiej w najbliższy piątek.

W partię tytułową wcieli się Małgorzata Walewska, solistka światowych scen operowych, jedna z najlepszych interpretatorek Carmen, artystka, którą brytyjski „Time" zaliczył do grona 10 najsławniejszych Polaków. Do tej pory uczestniczyła w 10 polskich i zagranicznych produkcjach „Carmen". – *Tu w Krakowie działamy na prawdziwych emocjach; gramy w filmowy sposób. Napięcie jest ważne w każdym geście, w każdym spojrzeniu* – mówiła Małgorzata Walewska. – *Przez 15 lat grania moja Carmen dojrzewa wraz ze mną. Teraz bardziej analizuję każdy ruch, każdy gest* – tłumaczyła.

Reżyser przedstawienia Laco Adamik, który po raz drugi realizuje „Carmen", podkreślił, że nie będzie to cepeliowska inscenizacja, pełna operowego kiczu. – *Robimy przedstawienie tradycyjne, wierne opowieści, ale w świeżym ujęciu – tak, abyśmy mogli na nowo zrozumieć i poznać losy postaci. Carmen żyje szybko, ale to nie znaczy, że powierzchownie* – mówił Laco Adamik.

Muzyczne kierownictwo objął Tadeusz Kozłowski. Kolejne spektakle: 6,7,9 marca oraz 14,15,16 maja. **(AMS)**

Wywiad z Małgorzatą Walewską w jutrzejszym „Magnesie"

Dziennik Polski
03-03-2010

03.03.2010

Intensywna Carmen bez Cepelii

Nie pierwsze to spotkanie Adamika z bodaj najpopularniejszym na świecie dziełem operowym. W 2006 roku inscenizacją w łódzkim Teatrze Wielkim zaskoczył odbiorców realistyczną scenerią. Co czeka publiczność tym razem? Podczas wczorajszej konferencji prasowej, Adamik na samym wstępie zaznaczył, iż choć nową inscenizacją kieruje potrzeba rekonstrukcji klasycznego repertuaru, to nie chce zmieniać sensu oryginału - pisze Łukasz Badula w portalu kulturaonline.pl

Skoczne melodie z partytury "Carmen" rozbrzmiewają dziś w co drugiej reklamie, ale blisko półtora wieku, w momencie swojej premiery (1875 rok), dzieło Georgesa Bizeta klasyką wcale się nie jawiło. Oparte na mrocznym opowiadaniu Prospera Mérimée, zrywało przecież z typową dla oper baśniowo-mitologiczną tematyką, a rozbuchaniem emocji przeczyło ówczesnej epoce naukowego, racjonalnego oglądu świata. Pierwsi widzowie potraktowali "Carmen" niczym herezję wobec kanonu. O ironio, na przestrzeni lat kolejni reżyserzy są rozliczani z wierności właśnie wobec tej gatunkowej herezji. Na ile jest w stanie ją uwierzytelnić na nowo Laco Adamik, okaże się już 5 marca na deskach Opery Krakowskiej.

Nie pierwsze to spotkanie Adamika z bodaj najpopularniejszym na świecie dziełem operowym. W 2006 roku inscenizacją w łódzkim Teatrze Wielkim zaskoczył odbiorców realistyczną scenerią. Co czeka publiczność tym razem? Podczas wczorajszej konferencji prasowej, Adamik na samym wstępie zaznaczył, iż choć nową inscenizacją kieruje potrzeba rekonstrukcji klasycznego repertuaru, to nie chce zmieniać sensu oryginału. "Carmen" na deskach Opery Krakowskiej ma zatem być próbą ponownego zrozumienia losu bohaterów libretta. Don José według Adamika jest tu postacią na wskroś współczesną, bliską współczesnym gwiazdom mediów. Nic dziwnego, iż to on, owładnięty obsesyjną, popychającą do zbrodni, zaborczą miłością stwarza perspektywę, z której widz postrzega cały dramat.

Dla Adamika nie mniej ważne są konotacje między tłem społecznym okresu narodzin opery Bizeta a tym, co dzieje się obecnie. Stąd zdecydowane, jak symbolicznie ujął reżyser, wyrzucenie wszelkiej Cepelii i położenie nacisku na określonego typu wystrój przestrzenny. Scenografię, za którą odpowiada Barbara Kędzierska, tworzy industrialna, surowa architektura, sygnalizująca narodziny nowej, ekspansywnej rzeczywistości postępu. Jeśli wierzyć deklaracjom Adamika, nie ma tu miejsca na umowną, pocztówkową Hiszpanię, znaną z wielu zachowawczych inscenizacji opery.

Choć reżyser w nowej interpretacji "Carmen" dostrzega ekspiację wspomnianego dramatu Don José, rzecz jasna uwaga widzów będzie tradycyjnie skoncentrowana na postaci tytułowej. Kuszącej, dzikiej i wyzwolonej Cygance, która wodzi mężczyzn za nosy. Adamik chce niejako oddać sprawiedliwość tej

postaci. Nie będzie rozpustną dziewczyną, tylko człowiekiem żyjącym intensywnie. Ten, kto szybko umiera, szybko żyje, co nie oznacza, że żyje powierzchownie - wyjaśnił na konferencji.

Partie Carmen u Adamika wykonują trzy mezzosopranistki. W przypadku Małgorzaty Walewskiej - wszechstronnej śpiewaczki o międzynarodowej renomie, właściwie można już mówić o swoistym tour de force. Rola Carmen od kilkunastu lat znajduje się w repertuarze artystki i jak sama wyznaje, tym razem praca nad nią przypominała wręcz grę na planie filmowym. Ważny jest każdy gest i emocjonalne napięcie pomiędzy postaciami.

Obok Walewskiej partie Carmen odtworzą dwie młode solistki - Monika Ledzion ze stołecznej Opery Kameralnej oraz znana bywalcom Opery Krakowskiej - Agnieszka Cząstka. Godnymi partnerami dla artystek na scenie powinna być męska obsada inscenizacji. W Don Jose wcielą się Tomasz Kuk, Vasyl Grokholskyi oraz przykuwający uwagę Arnold Rutkowski - laureat niezwykle prestiżowego konkursu międzynarodowego "Operalia". Innym utytułowanym śpiewakiem w krakowskiej "Carmen" jest natomiast Martin Babjak, grający Escamilla, m.in. zwycięzca filadelfijskiego konkursu im. Pavarottiego. Nad muzyczną stroną całości czuwa zaś Tadeusz Kozłowski.

To jak dotąd czwarta inscenizacja "Carmen" na deskach Opery Krakowskiej. Czas pokaże, czy będzie w stanie dorównać innym spektakularnym ujęciom tematu, jak np. wspominana na konferencji szalona inscenizacja Roberta Skolmowskiego z wrocławskiej Hali Ludowej. Uroczysta premiera już w piątek 5 marca o 18.30, a kolejne spektakle jeszcze tego samego miesiąca 6, 7 i 9. Potem "Carmen" powróci na afisze jeszcze w maju.

Premierze spektaklu towarzyszy wystawa autorstwa Adama Czopka, uwzględniająca rozmaite plakaty do operowych przedstawień Bizeta z całego świata, m.in. mediolańskiej La Scali czy londyńskiej Covent Garden. Ekspozycję można oglądać w foyer Opery Krakowskiej w czasie trwania spektakli oraz na godzinę przed ich rozpoczęciem.

Tytuł oryginalny
Intensywna Carmen bez Cepelii

Autor:
Łukasz Badula

Źródło:
Materiał nadesłany

Data:
03.03.2010

www.kulturaonline.pl

Moje życie z Carmen

– mówi **Małgorzata Walewska**, mezzosopranistka, którą brytyjski „Time" zaliczył do grona 10 najsławniejszych Polaków

Piątek, 5 marca, godz. 18.30, Opera Krakowska

– W Operze Krakowskiej odbędzie się premiera operowego hitu wszechczasów „Carmen". Zobaczymy Panią w roli tytułowej. Które to będzie Pani wcielenie w postać Carmen?

– Sprawdziłam. Będzie to moja dziesiąta produkcja.

– Były inscenizacje, w których od początku Pani brała udział, ale były też przedstawienia, w których występowała Pani gościnnie, jednorazowo.

– Z tych ważniejszych możemy wymienić „Carmen" w Wiedniu, czy w kamieniołomach w St. Margareten pod Wiedniem. We Wrocławiu wzięłam udział w dwóch produkcjach, z których tę z 2005 roku Roberta Skolmowskiego uważam za doskonałą. Ważna była też dla mnie „Carmen" w Savonlinnie w Finlandii, w Hadze, w Atenach w antycznym teatrze Herodosa, gdzie stojąc na scenie widziałam podświetlony Akropol. Oczywiście ważna jest także „Carmen" gliwicka nagrodzona Złotą Maską, z której powstało nagranie DVD. Miałam w tym roku wystąpić w tej roli w Baltimore, ale opera zbankrutowała i nic z tego nie wyjdzie. W przyszłym roku zaśpiewam jeszcze Carmen w Seattle.

– Do tego jeszcze trzeba dodać warszawską realizację „Carmen".

– Ona była dla mnie bardzo ważna, bo pierwsza. Od tego zaczęło się moje życie z Carmen.

– Istnieją takie role, w które wchodzi się często na kilkadziesiąt lat. Carmen zapewne do nich należy. Na ile czuje się Pani związana z tą postacią?

– To postać, która za każdym razem stawia przede mną wyzwania. Będąc Carmen trzeba podążać za charakterem postaci i trzeba być wiarygodną. Pracując nad rolą, wyobrażam sobie siebie w sytuacjach, w jakich znalazła się moja bohaterka, zastanawiam się, jak bym zareagowała i przecedzam to przez filtr wymagań reżysera wobec postaci i spektaklu. Na takiej kanwie buduję rolę. W miarę upływu lat Carmen wraz ze mną dojrzewa. W tej chwili mogłaby być wręcz moją córką. Nie mogę udawać dwudziestolatki, muszę teraz podchodzić do tej roli z klasą i dystansem. Mam jednak nadzieję, że nadal mogę być wystarczająco atrakcyjna, by przekonać publiczność do siebie. Najważniejszy jest dla mnie jej charakter i erotyzm.



KRWAWA CARMEN

FOT. ARCHIWUM OPERY KRAKOWSKIEJ

– Friedrich Nietzsche tak wyobrażał sobie Carmen: „Zbliża się elegancka, rozmarzona, pełna kokieterii... W jej spokoju jest coś afrykańskiego... Jej namiętność jest krótkotrwała, niespodziewana, gorączkowa... To miłość–fatum, los, bezwstydna, niewinna, okrutna".

– Zgadzam się z tym opisem i dodałabym jeszcze jedno: szczera. Carmen jest prawdziwa w swoich uczuciach. Ufam jej. To jest coś, co nas łączy. Ja też jestem otwarta i szczera. Jeśli Carmen kocha, choć kocha krótko, to jest gotowa zrobić wszystko dla miłości. Jest kobietą, której trzeba imponować. Ona potrzebuje nowych wyzwań, silnego i wartościowego mężczyzny, takiego jak torreador Escamillo, który jest frontmanem, zawsze wygrywa. Don Jose, podoficer, prosty chłopak, szybko się jej znudził. Gdy mężczyzna leży u twych stóp, staje się nudny. I ja to rozumiem. Ja też mam mężczyznę w domu, którego ciągle muszę zdobywać. To już trwa ponad dwadzieścia lat.

– Podobno Pani identyfikuje się z postaciami, w które się wciela?

– Tak, za każdym razem mam z nimi silny związek emocjonalny. Bardzo kocham Judytę z „Zamku sinobrodego". Jest to o tyle trudna miłość, że wymaga śpiewania w języku węgierskim. Kocham także Dalilę z „Samsona i Dalili", która jest nieszczera, podejrzliwa, podstępna. Moją popisową rolą jest mściwa księżniczka Amneris z „Aidy". To są bardzo ciekawe postacie, podobnie jak Carmen, która nie jest jednowymiarowa, ma dużo do zaoferowania. Staram się, aby moja postać dojrzewała w trakcie spektaklu. Inna jest Carmen na początku, beztroska i wierząca, że świat i szczęście zależy tylko od niej. Inna jest już w III akcie, gdy z kart dowiaduje się, że musi umrzeć. Gdy spotyka się z Don Jose, wie że to może być właśnie moment jej śmierci, a mimo to nie udaje, by ratować życie, pozostaje szczera i pozostaje wierna swoim wartościom.

– I jest do końca dumna.

– Właśnie duma też mnie z nią łączy. Podobnie jak Carmen, jestem silną osobowością, ale wrażliwą, łatwo mnie zranić. Nie pcham się na siłę; gdy czuję, że komuś nie pasuję, natychmiast się wycofuję. Dla mnie bardzo ważna jest dobra atmosfera pracy. Dlatego wybieram agentów, z którymi mogę się zaprzyjaźnić, a nie patrzę jedynie, jak dużo pracy mi przyniosą.

– Od kilku lat nie śpiewała Pani Carmen. Ostatnia produkcja to inscenizacja w Teatrze w Gliwicach w 2006 roku.

– Dlatego wracam do tej postaci z dużym emocjonalnym zapałem i z ciekawością, co wymyślił nowego Laco Adamik, reżyser krakowskiej inscenizacji. Przy takim dziele, lubianym i przerabianym na dziesiątą stronę, trudno wyczarować coś nowego. No chyba, że Carmen okazałaby się transwestytą, ale to nie zdarzy się w Krakowie. Jedno jest pewne, pokażę na scenie w Operze Krakowskiej Carmen dumną i wolną, bo to jest najważniejsze.

Rozmawiała: AGNIESZKA MALATYŃSKA-STANKIEWICZ

Premiera: 5 marca, godz. 18.30.
Kolejne spektakle:
6,7,9 marca, 14,15,16 maja.

Dziennik Polski
04-03-2010

http://www.viapoland.com/site/art/1-polska-z-pasja/13-/400-2010-czyli--inna-carmen.html



2010 czyli inna CARMEN

Nie przemija wielkość i sława najpiękniejszej opery o miłości, namiętności i zmysłowości czyli CARMEN G. Bizeta, co udowodnił najnowszą premierową inscenizacją krakowski reżyser Laco Adamik - oto relacja z przepremierowej próby generalnej z Opery Krakowskiej.

2010 – inna CARMEN

Wspólnie z redaktorem Janem Szczepańskim 4 marca 2010 roku obserwowaliśmy i przeżywaliśmy, dzięki uprzejmości Dyrektora Bogusława Nowaka, próbę generalną opery „Carmen" Georgesa Bizeta w Operze Krakowskiej, której premiera nastapi w dzisiejszy wieczór 5 marca.

Spektakl jest lekko uwspółcześniony, bez nacisku na cygańskość, czy nawet hiszpańskość bohaterów – twierdzi reżyser. Carmen krakowska 2010 - to spektakl o miłości.. Laco Adamik cały czas opowiada o miłości przez swój filtr emocjonalny, który podnosi widzom poziom adrenaliny, co czułem już oglądając jego inscenizację Łucji z Lamermoru. Tym razem poszedł o krok dalej. Wykonawcy grają w sposób naturalny, wręcz nie klasycznie operowy, bardziej filmowy, niż teatralizujący.

Kluczem do tej inscenizacji, która jest niewątpliwą sceniczną superprodukcją, są wspaniali, młodzi wykonawcy głównych ról kobiecych i męskich, ogromny zespół tańczących i śpiewających wykonawców z Małgorzatą Walewską i Monika Lendzion, solistką warszawskiej Opery Kameralnej (ta druga - na naszych zdjęciach z próby generalnej) oraz Agnieszką Cząstką jako odtwórczynie postaci Carmen. Wśród dorosłych są także śpiewające i tańczące w pierwszym akcie dzieci ze stałego zespołu związanego z Operą Krakowską. Rolę Don Jose reżyser powierzył Arnoldowi Rutkowskiemu (laureatowi konkursu "Operalia") oraz solistom z Krakowa: Tomaszowi Kukowi i Vasylowi Grokholskyiemu.

Reżyser Laco Adamik udzielił specjalnie dla ViaPoland.com wywiadu, zebraliśmy także w kuluarach kilka opinii o spektaklu na widowni. Głosy negatywne były odosobnione, kontrowersję budziła zmysłowa scena z Carmen, która okręca się w tańcu na... belce. Zmysłowość była, naszym zdaniem śmiała, ale jednak delikatna, stosowna do tragicznego tematu. Cyganka i jej ukochany byli namiętni. Zaskoczy widzów bardzo współczesny akord finałowy, spojrzenie na tragedię z punktu widzenia naszych czasów (scena z turystami). O dodatkowej i sprawiającej satysfakcję pracy związanej związanej z koniecznością ubrania także nastoletnich dzieci mówiła Barbara Kędzierska, scenograf i kostiumograf CARMEN.

Jest to czwarta realizacja CARMEN w Operze Krakowskiej. Pierwsza w nowym gmachu opery. Poprzednie inscenizacje miały premiery w marcu 1963 r., czerwcu 1979 i listopadzie 1991. CARMEN w Krakowie będzie wystawiana po francusku z polskimi napisami. Spektakle odbędą się: 5 (premiera), 6, 7 i 9 marca (bilety wysprzedane), a później 14,15 i 16 maja.

Tekst i zdj. Wieslaw Adamik Współpraca: Jan Szczepański

CARMEN NIE Z MUZEUM

Wywiad z Laco Adamikiem specjalnie dla Viapoland.com

- Chciał Pan podkreślić cygańskość czy hiszpańskość głównej pary bohaterów swojej inscenizacji Carmen?

- Nie, moim zamiarem było przede wszystkim opowiedzieć piękną, choć tragiczna historię o miłości bez tych obciążeń, które są charakterystyczne dla klasycznych inscenizacji. Cyganie w Hiszpani są bardzo zasymilowani. Oczywiście jak pisze profesor Sławek Cyganie w Carmen są symbolem ciemności Nie chodziło mi o miłość między Cyganką i hiszpańskim żołnierzem, która nie jest czymś wyjątkowym, takie historie się zdarzały, ale między kobietą, która żyje szybko i dlatego szybko umiera i mężczyzną, który doprowadza do tragicznego finału.. To esencja kobiecości, jakby zagęszczona, czytelna dla dzisiejszego widza. Mężczyzna zakochany jest tu stroną bezradna, cierpiącą. To odwieczny problem miłości, z którą jest związane także cierpienie. To odwieczny problem egzystencjalny. Szczęśliwi jesteśmy tylko przez chwilę.

- Czy spodziewa się Pan zainteresowania także młodzieżowej widowni tym spektaklem?

- W umiarkowanym stopniu, bez przesady, ale mam nadzieję, że tak będzie. Nie uważam, że opera jest tym medium, które najszybciej trafia do młodego widza, Ale jesteśmy wszyscy do siebie podobni, i starsi i młodzi. Wszyscy poruszamy się w sferze uczuć tak samo. Sam czuje się jeszcze młodo, o ile można tak o mnie powiedzieć. Staram się komunikować z innymi ludźmi opowiadając dobrze o uczuciach . Nie daję ramoty, Carmen z muzeum, czegoś, co już sto razy widzieliśmy w operze Ważne jest to, co mówią do siebie moi bohaterowie i to jak opowiadam o tym widzom. Jeśli opowiem o tym dobrze, trafię do widza.

- To jest spektakl wieloplanowy, widać na scenie plan pierwszy, drugi, a nawet trzeci i czwarty za szklaną ścianą fabryki...

- Reżyseruję tak, aby ukazana rzeczywistość nie była uproszczona, lecz prawdziwa, wielowymiarowa. Tak w pierwszym akcie poruszamy się jakby po prawdziwej ulicy, na której żyją ludzie. To perspektywa filmowa, odzwierciedlająca rzeczywistość.

- Czy chodzi o ówczesny „dziki kapitalizm"?

- Oczywiście jesteśmy w Sewilli XIX wieku, ale nie o to mi chodzi. Mamy wciąż przecież podobną epokę industrialną, w której wtedy zaczął funkcjonować w społeczeństwie przemysł, czyli to, co istniej do dziś. Ale ja nie poruszam spraw społecznych, tylko skupiam się na ideowych.

- Niedawno Magdalena Piekorz zainscenizowała na Śląsku „Oliviera Twista' jako superporodukcję z 256 wykonawcami, a jak jest z Carmen?

- Każda opera jest superprodukcją, bo w ogóle jest najdroższa sztuką. Moja inscenizacja nie przekracza jednak norm inscenizacyjnych, niezbędnych dla takiej opery.

- I tam i tu są dzieci na scenie?

- Bizet napisał w Carmen scenę z dziećmi, które są także u mnie w scenach na ulicy w Sewilli i tak jak w życiu są to i dziewczynki i chłopcy.

- Czy można powiedzieć, że w Pana spektaklu jest obsada gwiazdorska?

- Tak, absolutnie, ponieważ niezwykła jest mezzosopranistka Małgorzata Walewska, numer jeden w Polsce i zarazem jest światowego formatu odtwórczynią ról Carmen. Monika Lendzion też jest wspaniała, wciąż oczywiście się uczy pewnych nowych rzeczy bo dla niej to pierwsza rola Carmen, zresztą zaproponowana po raz pierwszy przeze mnie. Moim zdaniem jest urodzoną Carmen. Zaskakujący dla widzów będzie pozorny drobiazg, bo głównym cierpiącym poza Carmen jest Dom Jose, bo to on dokonuje wyborów i unicestwia siebie samego mordując ukochaną.

- Jakie są Pana dalsze plany reżyserskie operowe.

- Całe życie jako reżyser miałem mnóstwo pracy. Jestem w takiej na szczęście sytuacji, że to praca szuka mnie, a nie ja jej. W Operze Krakowskiej zaplanowaliśmy operetkę Barona Cygańskiego w mojej reżyserii, ale pracuje również na scenie wrocławskiej Chciałbym wystawić mojego ulubionego czeskiego kompozytora Janaczka.

- Widział Pan film Janosik – historia prawdziwa w reż. Kasi Adamik i Agnieszki Holland

- Byłem oczywiście na premierze tego filmu, który nakręciła moja córka i moja eks –żona Agnieszka Holland. Oczywiście film jest piękny, wzruszyła mnie ta historia, którą sam zresztą chciałem kiedyś nakręcić, ale mam świadomość pewnych braków tej realizacji, która jednak jest w dużej mierze bardzo polska. Polacy widza inaczej Janosika. Czy w pełni słowacka byłaby inna?

- Czy Pan upodobał sobie jakąś epokę, w której rozgrywa się akcja inscenizacji, albo filmu? W swoim serialu telewizyjnym Crimen pokazał Pan epokę XVII wieku...

- Lubię ostatnio XVIII wiek, ale nie to jest najważniejsze, opowiedziałem o miłości poprzez chyba wszystkie prawie epoki w moich kilkudziesięciu już inscenizacji operowych na scenie. Tak było z operą Łucją z Lammermooru na krakowskiej scenie, która bardzo polecam, i tak jest teraz. (rozmowa nieautoryzowana)

Rozmawiał Wiesław Adamik

05-03-2010

3/3

PREMIERA w Operze Krakowskiej

Carmen

JOANNĄ TARGOŃ



joanna.targon
@krakow.agora.pl

W piątek o godz. 18.30 odbędzie się premiera „Carmen" Bizeta w reżyserii Laco Adamika, pod dyrekcją Tadeusza Kozłowskiego i z Małgorzatą Walewską (na zdjęciu) w roli tytułowej.

„Carmen", swoją ostatnią operę, Georges Bizet skomponował w roku 1874 na zamówienie paryskiej Opery Komicznej, w której dwa lata wcześniej wystawiono (bez sukcesu) jego poprzednie dzieło, „Djamileh". Premiera „Carmen" zakończyła się wielką klapą, co nie przeszkodziło w jej późniejszej karierze.

Tak się zdarza w historii muzyki; wiele dzieł należących do żelaznego (i uwielbianego przez widzów) repertuaru zaliczyło klęskę na starcie, choćby „Traviata" Verdiego czy „Madame Butterfly" Pucciniego.

Libretto autorstwa Henri Meilhaca i Ludovica Halevy'ego oparte zostało na noweli Prospera Merimée. Tytułową bohaterką jest Cyganka Carmen, robotnica w sewilskiej fabryce tytoniowej, kobieta piękna, uwodzicielska, dzika, wolna i niezależna. Przyciąga mężczyzn - zakochują się w niej żołnierz Don Jose i toreador Don Escamillo. Akcja rozgrywa się wśród ludzi z warstw niższych - robotnic, żołnierzy, Cyganów, przemytników. Głównym wątkiem jest miłość - miłość fatalna, zakończona tragicznie.

P. MAŁECKI / OPERA KRAKOWSKA

Ta najbardziej hiszpańska z hiszpańskich opera jest tworem czysto francuskim - od pierwowzoru libretta, poprzez język, po muzykę, w której - poza „Habanerą", będącą przeróbką pieśni Sebastiana de Yradiera - nie występują rdzennie hiszpańskie motywy. Jak pisze Piotr Kamiński: „Młody Francuz, którego noga nigdy nie stanęła na Półwyspie Iberyjskim, powołał do życia Hiszpanię fantastyczną i mityczną, która dla milionów słuchaczy zastępuje po dziś dzień Hiszpanię rzeczywistą, irytując do szaleństwa niektórych Hiszpanów".

Scenografię zaprojektowała Barbara Kędzierska, choreografia jest dziełem Katarzyny Aleksander-Kmieć, a obok Małgorzaty Walewskiej wystąpią: Monika Ledzion, Agnieszka Cząstka, Martin Babjak, Przemysław Firek, Mariusz Godlewski, Wasyl Grocholskij, Tomasz Kuk, Arnold Rutkowski i inni.

GAZETA WYBORCZA

05-03-2010



Dziś w Krakowie wystąpi gwiazda światowych scen operowych Małgorzata Walewska

FOT. WOJCIECH MATUSIK

PREMIERA „CARMEN" GEORGESA BIZETA W OPERZE KRAKOWSKIEJ

Małgorzata Walewska jako Carmen

Muzyczną opowieść o zdradzie, miłości i zabójstwie wyreżyserował Laco Adamik. W roli tytułowej wystąpi mezzosopranistka Małgorzata Walewska

Premierowy spektakl jednego z najsłynniejszych dzieł operowych świata, „Carmen" do muzyki Georgesa Bizeta, obejrzą dziś widzowie na Dużej Scenie Opery Krakowskiej. Muzyczną opowieść o zdradzie, miłości i zabójstwie z piękną Cyganką w roli głównej wyreżyserował Laco Adamik. Jest to czwarta realizacja tego XIX-wiecznego dzieła w Operze Krakowskiej, a zarazem pierwsza w jej nowym gmachu.

Bizet napisał je na zlecenie dyrektora Opery Paryskiej, Camille'a du Locle. Libretto do niego powstało na kanwie nowelki Prospera Mérimée. Tytułowa Carmen rozkochuje w sobie pewnego sierżanta, by potem zdradzić go z przystojnym toreadorem i w finale zginąć zasztyletowana przez zazdrosnego kochanka. Nad oprawą muzyczną tej historii Georges Bizet pracował dość długo (przełom lat 1874-1875).

Mimo to, w 1875 r. premierę spektaklu na scenie Opery Paryskiej przyjęto bardzo chłodno, wręcz z lekceważeniem. Dzieło Bizeta okazało się bowiem zbyt nowatorskie, a treść sztuki uznano za niemoralną nawet w libertyńskiej Francji. Ba, ówczesna prasa domagała się zakazu wpuszczania nieletnich na przedstawienia.

Mimo to, dziś każdy miłośnik opery potrafi zanucić „Habanerę" i „Pieśń toreadora", a dzieło zostało już nawet sfilmowane. Ukazało się w sumie kilkadziesiąt jego nagrań. No i wciąż powstają nowe jego realizacje, czego dowodem jest właśnie dzisiejsza premiera w Krakowie.

> W XIX wieku dzieło Bizeta uznano we Francji za niemoralne

W rolę niebezpiecznej kusicielki wcieli się mezzosopranistka Małgorzata Walewska – solistka największych scen operowych świata, uznana w 1999 roku przez amerykański „Time" za „jedną z gwiazd, które oświetlą Polsce drogę w następne tysiąclecie". Śpiewaczka ma już na swoim koncie kilkanaście wykonań Carmen, jednak, jak mówi, za każdym razem ta rola stanowi dla niej wielkie wyzwanie.

Oprócz Małgorzaty Walewskiej w obsadzie zobaczymy również Monikę Ledzion, Agnieszkę Cząstkę, Martina Babjaka, Przemysława Firka, Mariusza Godlewskiego, Vasyla Grokholskyiego, Tomasza Kuka, Arnolda Rutkowskiego i innych.

Kierownictwo muzyczne przedstawienia powierzono Tadeuszowi Kozłowskiemu. Scenografię i projekty kostiumów – Barbarze Kędzierskiej.

Spektakl zaśpiewany zostanie w języku francuskim, z polskimi napisami. Wydarzeniu towarzyszy wystawa plakatów ze światowych premier „Carmen" Georgesa Bizeta. W wielu z nich udział wzięła Małgorzata Walewska.

Joanna Weryńska

PIĄTEK 5.03.
Opera Krakowska, Duża Scena
ul. Lubicz 48
Godz.18.30. Bilety 25-120 zł

GAZETA KRAKOWSKA
05-03-2010

Erotyczna Carmen Walewska

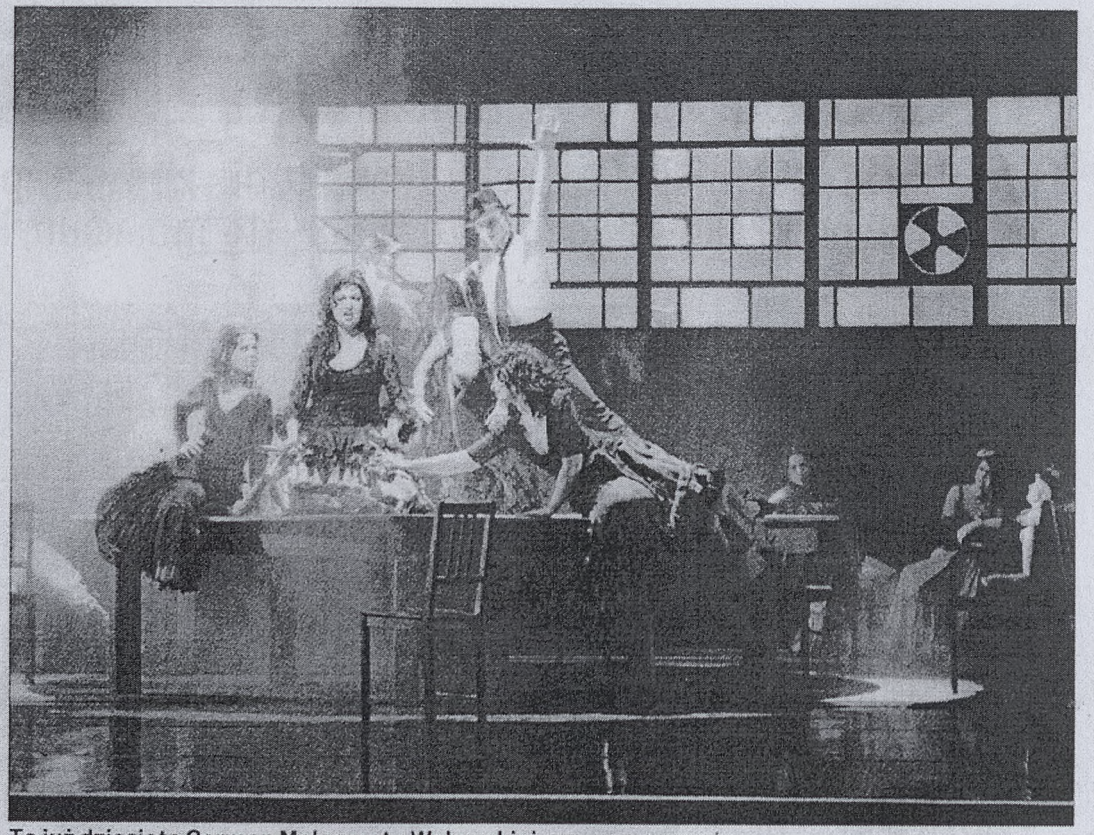
MUZYKA. Największy przebój operowy wraca do Krakowa

Po wielu latach oczekiwania na scenie Opery Krakowskiej pojawi się nowa, czwarta w historii tej instytucji inscenizacja „Carmen", największego przeboju operowego świata.

Bilety na wszystkie marcowe przedstawienia są już dawno sprzedane, zaś na majowe można rezerwować dopiero od połowy marca.

Największą atrakcją nowej inscenizacji wyreżyserowanej przez Laco Adamika jest odtwórczyni partii tytułowej Małgorzata Walewska, niezwykła mezzosopranistka, której głos uważany jest za najbardziej seksowny na świecie, artystka, która wg brytyjskiego magazynu „Time" należy do grona 10 najsławniejszych Polaków.

Dla Małgorzaty Walewskiej jest to już dziesiąta „Carmen", w karierze – m.in. po Warszawie, Wiedniu, Atenach, Hadze, Wrocławiu. – *Przez 15 lat moja Carmen bardzo się zmieniła, przynajmniej o 10 kilo* – żartowała przed premierą – *W miarę upływu lat Carmen wraz ze mną dojrzewa. W tej chwili mogłaby być wręcz moją córką. Nie mogę udawać dwudziestolatki, lecz muszę teraz podchodzić do tej roli z klasą i dystansem. Mam jednak nadzieję, że nadal mogę być wystarczająco atrakcyjna, by przekonać publiczność do siebie jako Carmen. Najważniejszy jest dla mnie jej charakter i erotyzm.*



To już dziesiąta Carmen Małgorzaty Walewskiej FOT. JACEK WRZESIŃSKI

Do wielkiego sukcesu dzieła przyczyniła się przede wszystkim niezwykła muzyka. Opera Bizeta stała się zbiorem hitów operowych. Jak w mało którym dziele, w „Carmen" każda aria jest powszechnie znana. Do najsłynniejszych można zaliczyć habanerę tytułowej bohaterki z I aktu: *„Miłość to cygańskie dziecię"*.

W krakowskiej inscenizacji do roli „Carmen" przygotowane zostały także dwie inne artystki: Monika Ledzion, solistka Warszawskiej Opery Kameralnej, oraz Agnieszka Cząstka, solistka Opery Krakowskiej. Partnerować im będą jako Don Jose: Arnold Rutkowski, laureat największego konkursu operowego „Operalia", oraz soliści Opery Krakowskiej: Tomasz Kuk i Vasyl Grokholskyi oraz w partii Escamilla Martin Babjak, zwycięzca Konkursu im. Pavarottiego w Filadelfii, solista Słowackiego Teatru Narodowego, a także Przemysław Firek, Mariusz Godlewski i Krzysztof Witkowski. Muzycznie całość przygotował Tadeusz Kozłowski i Maciej Figas.

Piękna muzyczna opowieść o nieokiełznanej i uwodzicielskiej Carmen stała się inspiracją dla wielu pokoleń twórców. Powstało wiele doskonałych przedstawień operowych, a także ekranizacji filmowych, w tym m.in. Williama Foxa z 1915 roku, z pierwszym wampem filmowym Thedą Barą, Ernsta Lubitscha z 1918 roku z Polą Negri, czy słynna Czarna Carmen, będąca amerykańską wersją opery z 1955 roku Ottona Premingera. Krakowskiej premierze będzie towarzyszyć wystawa plakatów z 40 różnych inscenizacji m.in. w La Scali, Covent Garden czy Operze Wiedeńskiej.

AGNIESZKA MALATYŃSKA-STANKIEWICZ

Dziennik Polski
05-03-2010

Kraków. Gwiazda zasłabła w czasie premiery

Tytuł oryginalny	Gwiazda zasłabła w czasie premiery
Autor	pil
Źródło	Gazeta Wyborcza online
Data	5 marca 2010

W czasie piątkowej premiery "Carmen" w krakowskiej operze, zasłabła odtwórczyni głównej roli, Małgorzata Walewska. Po pierwszej przerwie śpiewaczka nie wyszła już na scenę. Budynek opery opuściła w karetce.

W piątek o godzinie 18.30 rozpoczęła się premiera "Carmen" Bizeta w reżyserii Laco Adamika, pod dyrekcją Tadeusza Kozłowskiego. Gwiazdą była odtwórczyni roli tytułowej Małgorzata Walewska.

Przyczyny zasłabnięcia Walewskiej nie są znane. Artystka po występie w pierwszym akcie Carmen nie pojawiała się dłuższy czas na scenie. Przeciągającą się przerwę przerwał dyrektor opery Bogusław Nowak. Wyszedł na scenę i przeprosił widzów za zwłokę, tłumacząc to niedyspozycją gwiazdy. Na scenie w zastępstwie Walewskiej pojawiła się Monika Ledzion. Premiera trwała więc dalej. Sama gwiazda wyjechała prawdopodobnie z budynku opery pod opieką lekarzy.

Małgorzata Walewska już w trakcie ukończonych w 1994 roku studiów na Akademii Muzycznej w Warszawie zdobywała pierwsze nagrody na międzynarodowych konkursach, jak choćby w Las Palmas, czy we Wrocławiu. Karierę rozpoczynała na deskach Teatru Wielkiego w Warszawie. Później jej głosu słuchali widzowie wiedeńskiej Staatsoper, gdzie śpiewała obok Pavarottiego, Domingo, Estesa czy Edity Gruberovej. Już dziesięć lat temu brytyjski Time uznał ją za jedną z najsławniejszych Polek.

Jej ostatnim sukcesem pieczętującym światową sławę, był debiut w londyńskiej Royal Opera House, gdzie odtwarzała rolę Azuceny w Trubadurze Verdiego.

Więcej informacji

Spektakle

Carmen
reż. Laco Adamik

Powiązane osoby

Małgorzata Walewska

ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO
© 2016 Materiały zawarte na stronie są chronione prawem autorskim

Opera. Pechowa Carmen. Małgorzata Walewska czuje się już lepiej.

Małgorzata Walewska, jedna z najlepszych polskich mezzosopranistek, zasłabła podczas premiery „Carmen" w Operze Krakowskiej. Wezwany z widowni prof. Jerzy Sadowski, znany kardiochirurg, udzielił jej pierwszej pomocy. Po kilku minutach artystka została odwieziona karetką do szpitala, na oddział intensywnej terapii. Jak zapewnia dyrektor Opery Bogusław Nowak, czuje się już lepiej. Spektakl „Carmen" uratowała brawurowo Monika Ledzion, która podjęła się zastąpienia Małgorzaty Walewskiej.
Zdjęcie zostało wykonane podczas próby generalnej; tego duetu z Arnoldem Rutkowskim (jako Don Jose) Małgorzata Walewska podczas premiery już nie zaśpiewała.

Więcej ▶ A9



FOT. JACEK WRZESIŃSKI

DZIENNIK POLSKI
08-03-2010

PREMIERA. – Sytuacja była dramatyczna – przyznaje Bogusław Nowak, dyrektor Opery Krakowskiej

Gwiazda Małgorzata Walewska, jedna z najlepszych polskich mezzosopranistek, zasłabła podczas piątkowej premiery w Operze Krakowskiej. Przygotowywany od kilku miesięcy spektakl „Carmen" uratowała brawurowo Monika Ledzion, która podjęła się zastąpienia Małgorzaty Walewskiej i doprowadzenia przedstawienia do szczęśliwego końca.

– *Sytuacja była dramatyczna* – mówił nazajutrz Bogusław Nowak, dyrektor Opery Krakowskiej.

W piątek wszystko na scenie zaczęło się źle. Już od początku było widać i słychać, że Małgorzata Walewska, niekwestionowana najlepsza polska Carmen naszych czasów, nie jest w dobrej formie. Śpiewanie przychodziło artystce z dużym trudem. Dramat rozegrał się, poza publicznością, gdy opadła kurtyna po I akcie. Małgorzata Walewska w kulisach sceny zasłabła, miała kłopoty z oddychaniem. Wezwany z widowni prof. Jerzy Sadowski, znany krakowski kardiochirurg, szef Kliniki Chirurgii Serca, Naczyń i Transplantologii Szpitala im. Jana Pawła II, udzielił artystce pierwszej pomocy. Po kilku minutach Małgorzata Walewska została odwieziona karetką do szpitala, gdzie trafiła na oddział intensywnej terapii.

Obok Małgorzaty Walewskiej do roli Carmen przygotowywały się jeszcze: Monika Ledzion z Warszawskiej Opery Kameralnej oraz Agnieszka Cząstka, solistka Opery Krakowskiej. Obie młode artystki miały na krakowskiej scenie zadebiutować w partii Carmen. Monika Ledzion miała śpiewać w sobotnim przedstawieniu, Agnieszka Cząstka zaś w przedstawieniach majowych, bo w piątek na scenie można ją było usłyszeć w roli Mercedes.

Niestety, w polskich operach nie ma zwyczaju, jak w Metropilitan Opera w Nowym Jorku, że druga obsada, podczas gdy pierwsza jest na scenie, znajduje się w teatrze gotowa, by w każdym momencie w zastępstwie wejść w spektakl. Dlatego gdy w piątek wieczorem zadzwonił w hotelu telefon, Monika Ledzion już spała. Obudzona, szybko podjęła decyzję, że zaśpiewa w spektaklu od II aktu. Miała niespełna pół godziny, aby przybiec z hotelu, przebrać się, ucharakteryzować, rozśpiewać i wejść na scenę. Udało jej się pokonać tremę; jej Carmen zabrzmiała bardzo dobrze, a artystka została obdarzona przez publiczność dużymi brawami.

Małgorzata Walewska trafiła na oddział intensywnej terapii. Czuje się już lepiej.

„Carmen" nie jest szczęśliwym tytułem dla Krakowa. 13 lat temu, w maju, także po pierwszym I akcie, zasłabł dyrygent prowadzący spektakl „Carmen" Aleksander Tracz. Wówczas na widowni wśród publiczności znajdował się dyrygent Tadeusz Kozłowski, ten sam, który w miniony piątek dyrygował premierą „Carmen". Przebywał w Krakowie, gdyż ówczesny dyrektor Opery Krakowskiej Jerzy Noworol prowadził z nim rozmowy w sprawie objęcia stanowiska dyrektora artystycznego.

– *Po paru minutach oglądania partytury Tadeusz Kozłowski stanął przed orkiestrą i poprowadził przedstawienie do końca* – mówi Jerzy Noworol. – *Byliśmy szczęśliwi, że spektakl został uratowany, ale niestety po przedstawieniu dotarła do nas wiadomość, że Aleksander Tracz zmarł w szpitalu* – dodaje.

Jak zapewnił Bogusław Nowak, Małgorzta Walewska czuje się już lepiej, choć na pewno nie zaśpiewa w jutrzejszym spektaklu.

AGNIESZKA MALATYŃSKA-STANKIEWICZ

DZIENNIK POLSKI
08-03-2010
2/2

ŚLEPY LOS ROZDAŁ KARTY

Z sali koncertowej

ANNA WOŹNIAKOWSKA

Na tę premierę czekaliśmy z ciekawością. „Carmen" Georgesa Bizeta niezmiennie wzbudza zainteresowanie miłośników nie tylko pięknego śpiewu, ale i teatru, bo to dramat krwisty, pełen prawdziwych emocji, jest więc wdzięcznym polem poczynań reżyserskich. W Krakowie sięgnął po niego Laco Adamik, wytrawny człowiek teatru i opery. Mogliśmy się więc spodziewać interesującego spektaklu. Najbardziej jednak ekscytował melomanów udział w premierowym spektaklu Małgorzaty Walewskiej, która do partii Carmen wydaje się wręcz urodzona, co udowodniła kilkoma wspaniałymi kreacjami tej roli.

W piątek wydawało się, że dziesiąte już jej wcielenie w postać nieskrępowanej niczym Cyganki będzie kolejnym sukcesem. Już samo pojawienie się na scenie artystki mającej w ruchach coś z leniwej kotki zelektryzowało widzów. Ale śpiew ich zaniepokoił, zwiastował coś niedobrego...

Opisany powyżej wypadek – mocno przeżywany zarówno przez publiczność, jak i artystów – zaważył na kształcie sporej części II aktu, ale w końcu, choć w antraktach nasłuchiwaliśmy kolejnych wieści, „Carmen" zwyciężyła. Duża w tym zasługa Moniki Ledzion, która przeżywając podwójny stres – nagłego zastępstwa i debiutu w głównej partii – w pełni jednak sprostała zadaniu. Dwa kolejne akty były prawdziwym triumfem młodej śpiewaczki tworzącej przekonywającą postać idącej za porywem serca, bezkompromisowej dziewczyny. W tym triumfie miała godnych partnerów. Doskonałą wokalnie i postaciowo Micaelą była obdarzona prawdziwie słodkim głosem Katarzyna Trylnik, po raz pierwszy występująca na krakowskiej scenie (co ciekawe, obie panie wyszły z klasy prof. Haliny Słonickiej, która była także maestrą Małgorzaty Walewskiej). Świetnie śpiewał Don Josego Arnold Rutkowski, choć w swej rozpaczy i zazdrości w IV akcie był na mój gust zbyt histeryczny. Zawiódł mnie nieco gość ze Słowacji Martin Babjak jako Escamillo. Więcej sobie obiecywałam po tak utytułowanym artyście. Z przyjemnością oglądałam i słuchałam wykonawców pomniejszych ról: Marty Brzezińskiej i Agnieszki Cząstki (ładna scena wróżenia z kart), Imeri Kawsadzego, Bogdana Kurowskiego, Przemysława Reznera i Krzysztofa Witkowskiego.

Spektakl muzycznie przygotował i dobrze poprowadził Tadeusz Kozłowski. Orkiestra nie zachowywała jednak chwilami standardu. Pięknie np. zabrzmiało intermezzo przed III aktem, ale przydarzały się też zachwiania intonacyjne. Zastrzeżenia mam także tym razem do brzmienia chóru sprawiającego wrażenie niedopracowania partii.

A jaki teatr przyszło nam oglądać? Laco Adamik nie szukał jakichś nowatorskich rozwiązań. Wraz ze swymi stałymi współpracownikami (scenografia i kostiumy Barbara Kędzierska – ładne!; choreografia Katarzyna Aleksander–Kmieć) przedstawił dramat charakterów i namiętności niezmienny od wieków i zawsze aktualny. Nowej inscenizacji „Camen" w Operze Krakowskiej wróżę powodzenie.

DZIENNIK POLSKI
08-03-2010

Prawdziwy dramat w Operze Krakowskiej

▶ Małgorzata Walewska zasłabła podczas premiery

▶ Tytułową partię dokończyła za nią inna śpiewaczka

Katarzyna Fortuna



FOT. WOJCIECH MATUSIK

„Carmen" to popisowa rola Małgorzaty Walewskiej. Śpiewała ją już wiele razy

Premiera „Carmen" w Operze Krakowskiej miała dramatyczny przebieg. Po przedłużającej się przerwie, która nastąpiła po pierwszym akcie, zza kurtyny wyłonił się dyrektor Bogusław Nowak i oznajmił, że występująca w roli tytułowej Małgorzata Walewska zasłabła i zastąpi ją Monika Ledzion. Tym samym wyjaśniły się wątpliwości dotyczące słabej formy wokalnej znakomitej śpiewaczki.

Odkąd wyszła na scenę, widać było wyraźnie, że porusza się z trudem i opiera o elementy scenografii. Mogło to budzić zdziwienie, szczególnie jeśli porównamy żywiołową, kipiącą temperamentem Carmen Walewskiej, jaką pokazała w końcu nie tak dawno choćby w Teatrze Muzycznym w Gliwicach. Jednak i tak wysiłek śpiewaczki zasługuje na najwyższe uznanie, zwłaszcza że dzielnie dośpiewała do końca I akt dzieła, po czym karetka odwiozła ją na oddział intensywnej terapii.

Ale dziwne i dramatyczne wydarzenia od początku towarzyszyły operze Georgesa Bizeta. Podczas jednego z pierwszych spektakli „Carmen" w 1875 roku francuska primadonna Galli-Marie zemdlała. Stało się to podczas trzeciego aktu, kiedy skończyła śpiewać „arię z kartami". Zobaczyła w nich bowiem przepowiednię śmierci kompozytora, gdyż wyciągnęła z talii same piki.

Po pierwszym akcie diwę operową karetka odwiozła do szpitala

I rzeczywiście tak się stało. Po zakończonej porażką prapremierze, od lat cierpiący na skłonność do depresji, artysta zachorował na anginę. Następstwem choroby były komplikacje. Dokładna przyczyna zgonu Bizeta nie jest jednak znana. Oficjalnie nastąpił on 3 czerwca o drugiej nad ranem. Twórca miał wówczas niewiele ponad 36 lat.

Oczywiście trudno z tego wydarzenia wyciągać wnioski, że nad „Carmen" wisi klątwa. To przypadek, iż krakowska premiera miała tak dramatyczny przebieg. Spektakl w reżyserii Laco Adamika, ze scenografią Barbary Kędzierskiej, można by określić jako dość zachowawczy. Twórcy pokazali na scenie gwarną hiszpańską ulicę. Wśród przechodniów pojawiła się grupa rozśpiewanych dzieci. Dziewczynki w szkolnych strojach były zaczepiane przez ministrantów. W przeszklonym wnętrzu fabryki cygar widać było uwijające się robotnice, a po lewej stronie, przy wejściu do koszar, stojących wartowników.

W takiej scenerii rozpoczął się dramat miłości, namiętności i zazdrości. Don Jose został oczarowany przez Carmen. W drugim akcie Cyganka pojawiła się w oberży przemytników. Spotkała się tam z zakochanym w niej dragonem, tańcząc dla niego uwodzicielsko.

Monika Ledzion, zastępująca już w tej scenie Małgorzatę Walewską, miała trudne zadanie, lecz poradziła sobie bardzo dobrze zarówno wokalnie, jak i aktorsko. Jej uroda i temperament sceniczny dodały przedstawieniu energii. Arnold Rutkowski jako Don Jose, pod nieobecność Walewskiej stał się prawdziwą gwiazdą wieczoru.

Zastanawiam się dlaczego, pomimo dobrej formy solistów, spektakl nie był porywający. Być może ten operowy hit wymaga innej inscenizacji, na przykład przeniesienia we współczesne realia. Temat jest uniwersalny i ciągle aktualny, pewnie wystarczyłoby dostosować go do dzisiejszych czasów, a nie trzymać się ściśle historycznej konwencji.

Stan Małgorzaty Walewskiej, która w trakcie spektaklu została przewieziona do szpitala, poprawił się, lecz nie wiadomo, kiedy artystka znowu wystąpi w krakowskiej operze.

GAZETA KRAKOWSKA

08-03-2010

Dwie Carmen, falbany i cygara

Piątkowa **premiera „Carmen" w Operze Krakowskiej** była nerwowa – po pierwszym akcie okazało się, że Małgorzata Walewska zasłabła i w pozostałych trzech wystąpi Monika Ledzion

JOANNA TARGOŃ

Zastępstwo było godne. Monika Ledzion (która miała wystąpić w sobotnim spektaklu) zaśpiewała znakomicie, była też piękna, uwodzicielska i niepokorna, jak to Carmen być powinna. Występ Małgorzaty Walewskiej trudno w tej sytuacji oceniać. Godnym partnerem obydwu Carmen był Arnold Rutkowski jako Don Jose, śpiewak o głosie dużym, giętkim, pełnym emocji i szlachetnym w brzmieniu. Pięknie brzmiał jasny sopran Katarzyny Trylnik w partii Micaeli. Martin Babjak nie zachwycił – jego Escamillo był toreadorem ostrożnie wspinającym się na wyższe dźwięki i równie ostrożnie zstępującym w dół. A z dziw, że Carmen uległa jemu właśnie, mając pod bokiem Don Josego, tak przekonująco wyrażającego śpiewem swoją miłość. Arie Escamilla nie miały uwodzicielskiej siły, niezbędnej w tej roli.

A jaki był spektakl? Laco Adamik (reżyseria) i Barbara Kędzierska (scenografia) operowymi nowatorami nie są. Zwykle osadzają operę w epoce, w której się ona rozgrywa, ich widowiska są wystawne, scenografia i kostiumy starannie i gustownie zaprojektowane. I tak było tym razem, tyle że scenografka dążyła do estetycznego porządku na scenie, a reżyser starał się uatrakcyjnić przedstawienie ze wszystkich sił, co zaowocowało dość męczącym chaosem.

Pierwszy akt rozgrywa się przed sewilską fabryką cygar. Głównym elementem dekoracji jest więc fabryczna przeszklona ściana; za brudnymi szybami majaczą sylwetki na biało ubranych robotnic. Z lewej stanowisko żołnierzy, z prawej – stół i ławy taverny.



ADAM GOLEC

Małgorzatę Walewską (na zdjęciu), która zasłabła podczas premiery, zastąpiła Monika Ledzion

Po skąpej przestrzeni przed fabryką cygar przewalają się istne tłumy, imitujące „prawdziwe życie" i buchające kolorytem lokalnym. Liczne wszetecznice, przechadzające się drapieżnym krokiem, ujmujące pod boki i falujące falbanami (Hiszpania bez falban jest w operze nie do pomyślenia). Żołnierze poklepują się po ramionach, karczmarz nalewa wino i wyciera stół (po którym wciąż ktoś chodzi, pokłada się, ustawia malowniczo do śpiewania), ulicznik przechadza się kołyszącym krokiem, a wszyscy jak jeden mąż i żona palą cygara.

W krakowskiej operze scena jest jedynym miejscem, gdzie można palić (w celu artystycznym oczywiście), i w co drugim przedstawieniu widzimy puszczanie dymka. Ale w żadnym nie było to aż tak masowe i aż tak przez to zabawne. Jedynie nieletni chórzyści (bardzo zresztą ładnie śpiewający), przebrani za pensjonarki i ministrantów, uszli nałogowi.

Hiszpańskości dopełnia grupa wystylizowana na obraz Picassa „Rodzina kuglarzy", która znacząco wyłania się z tłumu. Ale co ma znaczyć? Że człowiek jest kuglarzem bożym? A może dowodzić erudycji reżysera? Pomysł gubi się po drodze, powraca co prawda w finale, gdzie ginie w nadmiarze reżyserskiej inwencji. Sceną śmierci Carmen Laco Adamik naprawdę zaskoczył widownię. Don Jose zabija niewierną na zapleczu areny corridy. Scena jest dramatyczna, trzyma w napięciu, Monika Ledzion i Arnold Rutkowski wkładają w nią całą duszę i umiejętności wokalne, na przeszklonej ścianie pojawia się projekcja – na czerwonym tle czarny atakujący byk – która podkręca emocje. A z lewej strony wchodzą współcześnie ubrani turyści z aparatami. Gapią się na byka (przyjechali do Hiszpanii oglądać film o corridzie?), nie zwracają uwagi na zbrodnię, która zaraz dokona się za ich plecami. Ugodzona nożem Carmen staje obok jednego z turystów, ten ją machinalnie obejmuje, ona pada. I nic. Nadal się gapią na elektronicznego byka, a Don Jose nadal wyśpiewuje swoją duszę mordercy i kochanka.

Co reżyser chciał nam powiedzieć? Czy pokazać obojętność współczesnego człowieka na dramaty rozgrywające się tuż obok, czy obojętność na sztukę wyższą (operę) w przeciwieństwie do sztuki masowej (transmisja z corridy)? Ale czemuż tak nagle, zdawkowo i niemądrze?

Wszystkiego jest w tej „Carmen" za dużo – tłumów, falban, cygar, zadań dla chórzystów (każdy ma w każdej minucie jakieś zadanie do wykonania, przeważnie jakiekolwiek), drapieżnych ruchów, demonicznych spojrzeń. Niezależnie, czy akcja rozgrywa się przed fabryką cygar, czy w gospodzie, czy w górskiej kryjówce przemytników, czy na zapleczu areny. Spektakl staje się lepszy, gdy reżyser skupia się na wyrażanym muzyką dramacie międzyludzkim, ale nie są to chwile częste, poza tym oglądamy wtedy akcje poboczne – dziewkę tarmoszącą się z amantem czy inną atrakcję. Tak jakby reżyser bał się, że bez tego specyficznego operowego drobiazgowego pseudorealizmu spektakl przestanie interesować widzów. ●

joanna.targon@krakow.agora.pl

Opera Krakowska, Georges Bizet, „Carmen", kierownictwo muzyczne – Tadeusz Kozłowski, reżyseria – Laco Adamik, scenografia – Barbara Kędzierska, choreografia – Katarzyna Aleksander-Kmieć, premiera 5 marca 2010

GAZETA WYBORCZA

08-03-2010

Walewska czuje się już znacznie lepiej

Joanna Weryńska

Poprawił się stan zdrowia Małgorzaty Walewskiej – słynnej śpiewaczki, która zemdlała po pierwszym akcie piątkowej premiery „Carmen" na deskach Opery Krakowskiej.

Wczoraj artystka przewieziona została z krakowskiego Szpitala Uniwersyteckiego przy ul. Kopernika do jednej z warszawskich klinik, gdzie obecnie poddawana jest szczegółowym badaniom

– Fizycznie Małgorzata czuje się już całkiem dobrze, ale jej stan psychiczny po ostatnich wydarzeniach nie jest najlepszy – mówi Bogdan Waszkiewicz, menedżer gwiazdy. – Najgorsza jest niepewność, dlatego teraz robimy wszystko, by znaleźć przyczyny jej piątkowej niedyspozycji. Nie możemy sobie pozwolić, żeby taka sytuacja kiedykolwiek się powtórzyła.

Od diagnozy lekarzy uzależnia powrót artystki na estradę i jej dalsze plany koncertowe.

– Na razie w ogóle o tym nie myślimy – przyznaje Waszkiewicz. – Jeśli wszystko będzie w porządku, spektakle w Operze Krakowskiej z udziałem Małgorzaty odbędą się tak jak zostały zaplanowane na maj.

Tymczasem dziś na deskach Opery Krakowskiej obejrzeć będzie można „Carmen" z Moniką Ledzion w roli tytułowej. Artystka znakomicie poradziła sobie zarówno z niełatwą partią, jak i zaistniałą sytuacją, zastępując Małgorzatę Walewską podczas piątkowej premiery.

Gazeta Krakowska
09-05-2010

10.03.2010

Wieczór dwóch Carmen

"Carmen" w reż. Laco Adamika w Operze Krakowskiej. Pisze Adam Czopek w Naszym Dzienniku.

Premiera najnowszej inscenizacji popularnej opery Georges'a Bizeta przejdzie do historii Opery Krakowskiej jako wydarzenie, na którym odcisnęła swoje piętno nagła choroba solistki Małgorzaty Walewskiej - prosto ze sceny trafiła do szpitala.

Pierwszy akt z udziałem Małgorzaty Walewskiej w partii tytułowej Cyganki przebiegał bez żadnych zakłóceń. Dwie popisowe arie: "Habanera" i "Sequidilla", wypadły w jej wykonaniu bardzo dobrze, i wszystko wskazywało na to, że będziemy świadkami kolejnej w jej karierze kreacji, która na długo pozostanie w pamięci.
Niestety, stało się inaczej! Podczas przerwy artystka zemdlała i odwieziono ją do szpitala, a na scenę w trybie nagłego zastępstwa zaproszono Monikę Ledzion, która miała być bohaterką drugiej premiery. Miała jedynie tyle czasu, by założyć kostium i ucharakteryzować się, o rozśpiewaniu nie mogło być już mowy.
Mimo że w pierwszej scenie II aktu paraliżowała ją trema, co przejawiało się nadmierną wibracją w głosie, to jednak z każdą chwilą czuła się pewniej! Wibracja została opanowana, głos nabierał blasku, a tworzona postać - charakteru, głębi i psychologicznej prawdy. Wypada tylko mieć nadzieję, że raczej jasny z natury mezzosopran Moniki Ledzion nabierze z czasem większej jeszcze miękkości, ciepłego, zmysłowego brzmienia, szczególnie w dolnych rejestrach. Przyznaję jednak, że jej Carmen to kobieta dumna i pewna swojego uroku, któremu żaden mężczyzna się nie oprze.
Partię Don Josego, który wyznawał uczucia dwóm różnym Carmen, śpiewał tego wieczoru Arnold Rutkowski. Młody artysta obdarzony tenorem o niezwykłej barwie i brzmieniu, a przy tym prowadzący głos z dużą swobodą, zaśpiewał z młodzieńczą pasją i ogromną ekspresją. Niezbyt przypadł mi do gustu Martin Bibjak w partii Escamilia - torreadora, który zauroczył Carmen. Zbyt często "uciekały" mu wysokie dźwięki, ponadto jego pozbawiony blasku głos ma płaskie, nieciekawe brzmienie.
Podsumowując, była to kreacja nijaka wokalnie i aktorsko. Podobała mi się natomiast Katarzyna Trylnik w partii subtelnej Micaeli. Jej kreacja miała wiele uroku i wdzięku, a wokalnie stała na wysokim poziomie.
Reżyseria Laco Adamika była sprawna, jej mocną stronę stanowiły pełne wewnętrznej dynamiki sceny zbiorowe oraz wyraziste prowadzenie bohaterów dramatu. Nie wszystko jednak w tej inscenizacji zasługuje na pochwałę. Nie bardzo wiem, czemu miała służyć grupa mimów pojawiająca się na początku I i IV aktu, która niczego nie wnosiła do treści i akcji. Równie dyskusyjne jest wprowadzenie w ostatniej scenie grupy turystów "coś" zwiedzających w chwili, kiedy na deskach "dogrywał się" dramat głównych bohaterów. Rozbijało to dramaturgię tragicznego finału. Podobało mi się natomiast

zastosowanie filmowej stop-klatki; podnosząca się kurtyna odsłaniała nieruchomy obraz ożywający pod wpływem muzyki. To robiło wrażenie! Podobnie jak utrzymana w czerwonej poświacie projekcja filmowa walki byków w chwili, kiedy Carmen i Don Jose śpiewają swój ostatni duet. Adamik wiedzie opowieść o miłości, zazdrości i potrzebie wolności w interesującej plastycznie scenografii i efektownych, stylizowanych na hiszpańskie kostiumach Barbary Kędzierskiej.

Tadeusz Kozłowski, dla którego "Carmen" to niemal chleb powszedni, i tym razem dał popis precyzji w prowadzeniu ansambli i scen zbiorowych. Czarowna muzyka Bizeta pod jego batutą ujmowała melodyjnością, temperamentem i świetnie rozplanowaną dynamiką.

Podsumowując, była to udana premiera interesującej inscenizacji, która z pewnością cieszyć się będzie dużym powodzeniem.

Tytuł oryginalny
Wieczór dwóch Carmen

Autor:
Adam Czopek

Źródło:
Materiał nadesłany

Nasz Dziennik nr 58 online

Data:
10.03.2010



WRAŻLIWA I UPARTA

Identyfikowanie mnie tylko z Carmen ma miejsce jedynie w Polsce. Na świecie bardziej jestem znana jako Amneris, Dalila czy Azucena

Rozmawia **PAWEŁ DYBICZ**

Małgorzata Walewska

Rola Carmen uchodzi za pani znak firmowy. Jeszcze trochę, a wielu będzie myślało, że nie nazywa się pani Małgorzata Walewska, ale Carmen Walewska. Nie męczy pani ta jednostronna identyfikacja z rolą?

– Ta identyfikacja z Carmen ma miejsce tylko w Polsce. Może dlatego, że to jedyna opera, którą wszyscy znają? Na świecie jestem bardziej znana jako Amneris, Dalila czy Azucena.

Rola Carmen należy do wyczerpujących. Powiedziała pani, że przygotowując się do niej, chudnie, ale ile kilogramów traci pani po samym występie?

– Zdarzyło mi się w czasie przedstawienia zrzucić 2 kg. Oczywiście to głównie utrata wody, którą szybko się uzupełnia, ale faktem jest, że taka rola to ciężka fizyczna robota i trzeba mieć nie lada kondycję, żeby jej sprostać.

Miała pani śmieszne lub mniej śmieszne wydarzenia związane z „Carmen"?

– Wiele takich było, że wspomnę przedstawienie w Operze Narodowej w Warszawie, kiedy kolega postawił krzesło (na którym usiadł) na lamówce wykańczającej moją spódnicę. Im bardziej od niego odchodziłam, tym bardziej odpruwała się lamówka. Jak tylko zorientowałam się, w czym rzecz, niewiele myśląc, wróciłam do krzesła i zrzuciłam z niego mocno zdezorientowanego kolegę. Oczywiście podczas całego działania ani na chwilę nie wyszłam z roli.

KOCHA SZCZERZE, CHOĆ... KRÓTKO

Skoro Małgorzata Walewska to „chyba najbardziej erotyczny głos na świecie", jak można przeczytać na pani stronie internetowej, to czy Carmen jest najbardziej seksowną postacią w operze?

– To jeden z dziennikarzy znalazł na jakimś forum internetowym opinię o erotyzmie w moim głosie i posłużył się nią w wywiadzie. Uważam to za komplement.

Dla mnie najbardziej zmysłową bohaterką, w jaką mam przyjemność się wcielać, jest Dalila. Carmen ma u mnie drugie miejsce. Wysoką pozycję zajmuje też księżniczka Eboli.

Czym w ogóle jest dla pani Carmen? Jak na tę postać trzeba patrzeć?

– Myślę, że to zależy od punktu patrzenia. Zasadniczo Carmen to kobieta dumna, wolna i uparta. Uwielbia życie i wesołe towarzystwo. Na kochanków wybiera frontmanów. Objawy słabości zniechęcają ją do mężczyzn. Kto próbuje zmienić jej sposób myślenia, przegrywa. Jak każda Cyganka wierzy w przeznaczenie i nie próbuje uniknąć swego losu. Jednak w każdej inscenizacji jest ona nieco inna, bo inne są koncepcje i wy-

Moje możliwości wokalne sięgają od altu do dramatycznego sopranu. Oczywiście nie jestem w stanie zaśpiewać ról stricte sopranowych, ale mam w repertuarze parę ról „z pogranicza".

magania reżyserów. To właśnie jest najciekawsze.

■ Carmen to zdradliwa uwodzicielka czy już pierwowzór singielki, a może nawet prafeministka?

– Skłaniałabym się raczej do tej singielki, bo feministka? Hmm... Ona lubi, jak mężczyźni otwierają przed nią drzwi i podstawiają krzesło. Przeszkadzają jej dopiero wtedy, gdy ograniczają jej swobodę. Nie jest też zdradliwa! Kocha szczerze, choć... krótko. Lubi nowe wyzwania i potrzebuje zmian.

■ Jaki jest pani stosunek do feminizmu, parytetu?

– Ja też lubię, jak mężczyźni otwierają przede mną drzwi i podają płaszcz. Oczywiście, jeśli chodzi o równouprawnienie w dostępie do edukacji czy pracy w różnych zawodach, to jestem za, choć i tak uważam, że na pierwszym miejscu powinny być fachowość, wykształcenie i wiedza, a nie płeć. Z drugiej strony, nie ma się co czarować, mężczyźni z racji swojej płci i siły do niektórych zajęć lepiej się nadają i odwrotnie. Niewiele jest kobiet (o ile w ogóle jakieś są?) dobrych górników czy hutników. A także niewielu jest ojców, którzy są dobrymi matkami.

■ Pani głos to czysty mezzosopran. Nie żałuje pani, że ten głos nie pozwala być Aidą, Łucją, Mimi...

– Nie jest to taki „czysty mezzosopran", bo moje możliwości wokalne sięgają od altu do dramatycznego sopranu. Oczywiście nie jestem w stanie zaśpiewać ról *stricte* sopranowych, ale mam w repertuarze parę ról „z pogranicza", takich jak Santuzza, Eboli, Judyta w „Zamku Sinobrodego" czy właśnie Carmen. To role z powodzeniem śpiewane przez soprany i mezzosoprany. Oczywiście są role, których zazdroszczę innym głosom. Aida do nich nie należy, bo dużo barwniejsza i bardziej interesująca jest Amneris, którą śpiewam na całym świecie. Pociągałyby mnie Tosca, Madama Butterfly. Są też role, dla których chciałabym być tenorem, barytonem lub basem...

Gdy zaczynałam śpiewać, miałam takie podejście, że „im wyżej, tym lepiej". Przeszło mi to w miarę postępów wokalnych, aż doszłam do momentu, kiedy jestem bardzo zadowolona z gatunku głosu, jakim mnie los obdarzył. Przede wszystkim dlatego, że mam szerokie spektrum. Mogę być piękną, młodą, uwodzicielską Carmen, Dalilą czy Eboli, ale też świetnie się czuję jako Azucena, Cieca, Ulrica czy Miss Quickly. I wiem, że nawet jak będę miała 80 lat i będę śpiewała Starą Hrabinę, to nikt nie powie, że jestem za stara. A 80-letnia Mimi... no, jakoś tego nie widzę...

■■■ NIE STOI ZA NAMI HISTORIA

■ Polscy soliści coraz więcej znaczą w operowym świecie. Pani, Piotr Beczała, Mariusz Kwiecień, że-

Są role, których zazdroszczę innym głosom. Pociągałaby mnie Tosca, Madama Butterfly. Są też role, dla których chciałabym być tenorem, barytonem lub basem.

W 1994 r. ukończyła z wyróżnieniem Akademię Muzyczną w Warszawie, zdobywając już w trakcie studiów pierwsze nagrody na międzynarodowych konkursach, m.in. we Wrocławiu i Las Palmas. Ma na koncie występy w największych teatrach operowych Europy i Stanów Zjednoczonych oraz udziały w licznych festiwalach. W 1999 r. tygodnik „Time" zaliczył ją do grona dziesięciu najsławniejszych Polaków, jako „jedną z gwiazd, które oświetlą Polsce drogę w następne tysiąclecie". W marcu br. w roli Carmen wystąpiła na scenie Opery Krakowskiej.



Małgorzata Walewska w roli Carmen na scenie Opery Narodowej w Warszawie.

by tylko na tych nazwiskach poprzestać. Czy zapanowała moda na Polaków, czy też mają mocną pozycję z racji talentu i muzycznej edukacji?

– Tu trzeba też wymienić Andrzeja Dobbera i Olę Kurzak idącą jak burza przez światowe sceny. Na to nie ma mody. Nawet ośmielę się stwierdzić, że jako Polacy mamy trudniej. Musimy się nauczyć większej liczby języków i nie stoi za nami historia opery jak za Rosjanami, Włochami czy Niemcami. Do tego dochodzą talent, ciężka praca, trochę szczęścia i dobry agent. Taka prosta recepta na międzynarodowy sukces...

Gdy zaczynałam śpiewać, miałam takie podejście, że „im wyżej, tym lepiej".

By wspiąć się na szczyty, zdobyć sławę, być gwiazdą, dziś już nie wystarczą tylko muzyczna edukacja i talent. Coraz więcej znaczy PR i marketing. Stąd udział w różnego rodzaju imprezach, niekiedy nawet skandalach?

– Tu też jest ważna agencja. Niektóre agencje, jak EMI, mają władzę nad magazynami operowymi, gdzie w łatwy sposób mogą promować swoich artystów.

Nie sądzę, żeby te skandale były w jakiś sposób zaplanowane przez artystów. Oczywiście, jeśli Alagna rozstaje się z Gheorghiu czy zrywa przedstawienie w La Scali, prasa to podchwytuje. Myślę, że takie zaplanowane skandale mają miejsce tylko w świecie popowym, gdzie często brak talentu trzeba nadrabiać rozgłosem medialnym.

Śpiewając z największymi gwiazdami opery – Pavarottim, Domingiem – gościła pani na najważniejszych scenach operowych. Może je pani porównać z naszymi czołowymi scenami? Jak pani ocenia ich poziom?

– Niestety generalnie wypadamy blado, choć mamy bardzo utalentowane indywidualności. Myślę, że jedyne ośrodki, które mogą tu stanąć do rywalizacji, to Opera Narodowa i wrocławskie przedsięwzięcia Ewy Michnik. Dobre orkiestry w Polsce można policzyć na palcach jednej ręki. To wina kiepskich warunków finansowych. Muzycy w zachodnich orkiestrach dostają wynagrodzenie, które zapewnia im utrzymanie rodziny na przyzwoitym poziomie, i mogą się poświęcić pracy nad doskonaleniem warsztatu. A muzycy w polskich orkiestrach pracują na paru etatach, żeby związać koniec z końcem. Na pocieszenie mogę państwu powiedzieć, że chór naszej Opery Narodowej brzmi dużo lepiej niż chór MET w Nowym Jorku. A i scenografia robiona przez naszych scenografów niejednokrotnie przebija zachodnie produkcje.

Na koncertach śpiewała pani obok wykonawców muzyki pop i rocka. Czy nie myślała pani, by nagrać płytę z hitami popowymi czy rockowymi w mezzosopranowym wykonaniu?

– Były takie przymiarki. Parę koncertów, które zaśpiewałam z artystami rockowymi i popowymi, pokazało, że to nie jest najlepszy mariaż. Chyba że ktoś ma naprawdę dobry pomysł na zmiksowanie takiej hybrydy. Gościnnie wystąpiłam na płytach korsykańskiego zespołu popowego I Muvrini, Elektrycznych Gitar, Voo Voo czy Leszczy, ale zasadniczo to mnie nie pociąga. Uważam, że bardzo udana była płyta „Mezzo" z kompozycjami i aranżacjami Piotra Rubika. To doświadczenie absolutnie zaspokoiło moje zainteresowanie crossoverem. Z utworów pozaklasycznych mam w planach nagranie piosenek filmowych. Lubię ambienty w rodzaju „Panta Rhei", płyty, na której śpiewam kompozycje Sebastiana Olki, i w tym gatunku chyba nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa. A tak naprawdę wszystko zależy od propozycji, jakie dostaję. Jeśli coś mnie zainteresuje, to to nagram.

VILLAS, PAVAROTTI, BARTOSIEWICZ...

Kogo pani chętniej słuchała jako dziecko – Rodowicz czy Callas, Turner czy Caballé?

– Moją ulubioną płytą był „Słowik Warszawy" z koloraturowymi ariami Bogny Sokorskiej, kolekcja płyt Violetty Villas i Orkiestry z Chmielnej. Miałam też ulubioną bajkę muzyczną o Złotej Kaczce. W roli Kaczki występowała Halina Słonicka, znakomita sopranistka, która wiele lat później została moim profesorem śpiewu.

A kto jest teraz pani idolem, kogo lubi pani słuchać?

– Na pierwszym miejscu postawiłabym Jessye Norman. Ale tak naprawdę lista jest długa: Luciano Pavarotti, Placido Domingo, Bernard Ładysz, Boris Christow, Magda Olivero, Mariusz Kwiecień, Izabella Kłosińska, Olga Borodina, José Cura, Franco Corelli, Ettore Bastianini, Mirella Freni, Piotr Beczała, Diana Damrau... Czasem słucham też muzyki lżejszej; tu moimi ulubieńcami są Edyta Bartosiewicz, Krystyna Janda i Enya, Daniel Ash, Ella Fitzgerald...

W programie Kuby Wojewódzkiego powiedziała pani: „Kiedy się słucha (nie ogląda) Pavarottiego, to sutki twardnieją". Czy tylko ten wielki tenor wywołuje takie reakcje? Czyżby w tych słowach przejawiała się pani ocena, kto był największym tenorem ostatniego półwiecza, a może nawet całego XX w.?

– Nigdy nie użyłabym takiego zwrotu. To powiedział Kuba, ja tylko taktownie nie zaprzeczyłam, bo faktycznie głos, muzykalność i sposób prowadzenia frazy Pavarottiego były ekstatycznie perfekcyjne i elektryzujące. Jeśli chodzi o tenorów, to podobne wrażenia wzbudzał we mnie Franco Corelli. I José Cura, jeśli jest w dobrej formie.

Niektóre agencje, jak EMI, mają władzę nad magazynami operowymi, gdzie w łatwy sposób mogą promować swoich artystów.

Chór naszej Opery Narodowej brzmi dużo lepiej niż chór MET w Nowym Jorku.

Czy opera znalazła się w ślepym zaułku i już nie powstaną tak wielkie dzieła z piękną muzyką jak opery Pucciniego, Belliniego, Verdiego? Czy nowoczesność, dodekafonia nie zabiły czasem opery w „klasycznym" wydaniu i dlatego coraz większą popularnością cieszą się musicale, a miłośnikom opery pozostaje delektować się „Carmen"?

– Ależ skąd! Uważam, że opera przeżywa wręcz renesans. Wszędzie na świecie występuję przy pełnych salach! Kiedy ostatnio był pan w operze warszawskiej? Na „Madamę Butterfly" i wiele innych tytułów nie można dostać biletów. To fakt, że nie powstaje wiele nowych dzieł tego gatunku, ale to pewnie dlatego, że czasy się zmieniły i dominuje internet, ale proszę sprawdzić na YouTube, ile jest wejść na strony sławnych śpiewaków. Nagranie Pavarottiego „Nessun dorma" przekroczyło 14,5 mln wejść!!! Inni wielcy operowego świata też mają odwiedzających liczonych w setkach tysięcy. To chyba nie świadczy o upadku?!

Zaplanowane skandale mają miejsce tylko w świecie popowym, gdzie często brak talentu trzeba nadrabiać rozgłosem medialnym.

Na zakończenie coś z „Księgi imion": „Małgorzata pochodzi od greckiego słowa *margarites* – perła. Małgorzata trochę przypomina perłę – trzeba się sporo natrudzić, żeby przekonać się, ile naprawdę jest warta. Na zewnątrz często prezentuje tylko muszlę, jakich wiele. Na dodatek ma o sobie nie najwyższe mniemanie. Wciąż powtarza, jak mało umie, posiada, znaczy. Na szczęście z reguły trafia na mądrego szefa, który bez wahania powierza jej trudne zadania. Wtedy Małgorzata rzuca się w wir pracy, nie liczy godzin, wszystko podporządkowuje temu zajęciu i osiąga imponujące rezultaty". Ta charakterystyka trafnie oddaje pani osobowość, oddanie operze?

– W dużej mierze pasuję do tego opisu. Jestem wrażliwa, ale silna i uparta. Moja siła woli często pokonuje moje słabości fizyczne i choroby. Mam świadomość swojej wartości, ale patrzę na siebie bardzo krytycznie i stawiam sobie bardzo wysokie wymagania. Rzadko jestem zadowolona z siebie. Mam świadomość swoich ułomności. Operze oddaję się bez reszty i jestem w stanie ponieść wiele wyrzeczeń dla dobra roli. Miałam w życiu parę ważnych osób, które pomogły mi dokonać trafnych wyborów i pokazały, którędy iść, żeby nie zabłądzić.

PAWEŁ DYBICZ

PRZEGLĄD NR 10 14.03.2010

Na „Carmen" jak do lekarza

NASZE INTERWENCJE
☎ 12 629 52 31

•• „Carmen" w Operze Krakowskiej cieszy się nadzwyczajną popularnością. Osoby pragnące zarezerwować miejsce już od godziny 6.30 stoją w kolejce pod operą. A gdy dojdą do okienka, okazuje się, że biletów już nie ma. – Jak to możliwe? – pytają.

„Carmen" miała premierę 5 marca. W tym miesiącu wystawiana była cztery razy, a najbliższe spektakle grane będą się od 13 do 16 maja. Zainteresowanie jest ogromne.

- W poniedziałek przez kilka godzin nie mogłam się dodzwonić do opery, a gdy wreszcie się udało, pani powiedziała mi, że zostały już tylko bilety na 16 maja i najlepiej ustawić się po nie rano - mówi Katarzyna Klimek, która pod operę przyszła wczoraj o godzinie 7.30. Przed nią stało już 15 osób. Gdy po godzinie przyszła jej kolej, okazało się, że zostały już tylko pojedyncze miejsca porozrzucane po całej sali.

- Stoi się tu jak w kolejce po numerek do lekarza. Może te bilety pracownicy opery rozdają wcześniej znajomym albo rodzinie? - pyta rozgoryczona. Z podobnymi zarzutami od zdenerwowanych klientów codziennie spotyka się Anna Kościelna, kierowniczka Działu Organizacji Widowni Opery Krakowskiej.

- Rozumiem te emocje, ale zapewniam, że nie rozdajemy biletów ani nie rezerwujemy ich dla znajomych. „Carmen", podobnie jak „Madame Butterfly", cieszy się tak dużą popularnością, że bilety rozchodzą się błyskawicznie - mówi Kościelna.

Rezerwacjami w Operze Krakowskiej zajmują się tylko dwie osoby, które z trudem nadążają z odpowiadaniem na listy i odbieraniem telefonów. A pierwszeństwo mają osoby, które przyszły osobiście, następnie ci, którzy dzwonią, najpóźniej obsługiwani są ci, którzy chcą zarezerwować bilety drogą elektroniczną. Jak twierdzi Anna Kościelna, przez ostatnie dwa dni maili z zapytaniem o rezerwację przyszło kilkaset. 15 procent z nich było z zagranicy.

Obecnie nie ma już szans na zarezerwowanie miejsca na majową „Carmen". O bilety warto jednak pytać na dwa, trzy tygodnie przed spektaklem, wtedy będzie wiadomo, które rezerwacje są potwierdzone.

ANETA ŻUKOWSKA

Gazeta Wyborcza

17-03-2010

Habanera przy rurze

„Carmen" to „Carmen". I tylko wyjątkowi nieudacznicy mogą odstraszyć od tego arcydzieła. Do „Carmen" w Operze Krakowskiej wzięli się profesjonaliści, toteż uwzględniając jeszcze doborową obsadę, nie trzeba się martwić o losy inscenizacji. Na premierze nie tylko widzowie bardziej się martwili o zdrowie Małgorzaty Walewskiej, która straciła przytomność po I akcie i została hospitalizowana. Zastąpiła ją Monika Lendzion, co oczywiście zburzyło układ obsady w kolejnych dniach.

Nazwisko Laco Adamika gwarantowało, że nie udziwni on przedstawienia, a z Carmen nie zrobi transseksualisty. Jeżeli już doszukiwać się nowatorskich skojarzeń, to w tańcu przy rurze podczas „Habanery". Zadziwia jeszcze dym z cygar. Czy pokazując Sewillę z tamtych czasów, chciał udowodnić, że nie tylko kokoty, ale nawet damy z towarzystwa chodziły z cygarem w ustach?

O ile pewne elementy reżyserii mogą zastanawiać, o tyle główni wykonawcy nie zawiedli. Ściągnięta w trybie awaryjnym sopranistka Ewa Vesin z Opery Wrocławskiej pokazała, że dobrze sobie radzi z rolą, i jeżeli poprawi ruch sceniczny, to może pójdzie drogą kariery Małgorzaty Walewskiej. Przejmująco wypadła Katarzyna Trylnik w partii Micaeli. Osobny rozdział to Arnold Rutkowski jako Don José, którego mocny, a jednocześnie pełen uczucia głos potwierdza, że śpiewak ma wielkie szanse zaistnieć na największych scenach. Tylko nieco odstawał „rozbiegany" Przemysław Firek, który powoli wchodził w odpowiednie tony.

Laco Adamik kończy inscenizację, ukazując grupę turystów oglądających na telebimie corridę. Jeden z nich mimowolnie podtrzymuje upadającą Carmen. Reszta nie zwraca na nią uwagi. Czyżby reżyser wieszczył upadek opery na rzecz popkultury? A może zainspirował się „Upadkiem Ikara" Pietera Bruegla i chciał nam powiedzieć, że wszyscy jesteśmy ślepcami?

Paweł Dybicz

GEORGE BIZET, „CARMEN", REŻYSERIA LACO ADAMIK, SCENOGRAFIA I KOSTIUMY BARBARA KĘDZIERSKA, CHOREOGRAFIA KATARZYNA ALEKSANDER-KMIEĆ, KIEROWNICTWO MUZYCZNE, DYRYGENT TADEUSZ KOZŁOWSKI, OPERA KRAKOWSKA, 5-7 MARCA 2010



PRZEGLĄD
NR 11
21-03-2010

„Carmen" w Krakowie

Opera Krakowska od kilku tygodni epatowała lokalne media informacjami o zbliżającej się premierze nowej inscenizacji „Carmen" Georgesa Bizeta. Podekscytowani pozyskaniem do spektaklu Małgorzaty Walewskiej włodarze krakowskiej sceny snuli plany i marzyli o spektakularnym sukcesie. Niestety, innowacje adaptacyjne nie okazały się nawet kontrowersyjne.

Laco Adamik, reżyser przedsięwzięcia, opowiadał o zaniechaniu operowego kiczu, zupełnie pomijając fakt, że ów kicz pojawia się w teatrze nie za sprawą muzyki czy libretta składających się na dzieło, lecz jest wytworem realizatorów przedstawienia. Tak więc miała zniknąć wszechobecna iberyjska cepeliada i utrwalane latami schematy nieodzownie przypisywane „Carmen". W zamian twórcy spektaklu chcieli zaproponować widzom nowoczesne spojrzenie na tę operę zainspirowane rodzącym się pod koniec XIX wieku przemysłem – nie zmieniając sensu dzieła, postanowili odejść od wypróbowanych form i spróbować czegoś nowego. „Pocztówkowa Hiszpania" miała przeobrazić się w świadomości widza w kraj na wskroś industrialny. Małgorzata Walewska, która jak zawsze barwnie prezentowała swoje dotychczasowe kreacje Carmen, podkreślała wagę uniwersalnych emocji, charakteryzujących postać Cyganki. Zaznaczała rolę gestu, sposobu poruszania się, napięcia w spojrzeniu – aktorstwo zdecydowanie bliższe filmowi niż teatrowi (bardziej oszczędne, choć nie pozbawione ekspresji). Patrząc na plakat autorstwa Barbary Kędzierskiej (scenografia, kostiumy) i Laco Adamika, usilnie doszukiwałam się skojarzeń z „Carmen", jakichkolwiek, choćby tych odległych, a jednocześnie z nadzieją słuchałam o operowym elementarzu mistrza Zeffirellego...



Monika Ledzion (Carmen), Przemysław Firek (Escamillo), IV akt.

Sztuczna atmosfera

Od samego początku premierowego wieczoru (5.03.2010) wyczuwało się dziwaczne wręcz napięcie płynące ze sceny oraz z kanału orkiestry, która rozpoczęła swą opowieść jakby ostrożnie, niemrawo, zachowawczo. Nie było dobrze znanego wybuchu, tej swoistej eksplozji dźwięków charakterystycznych dla „Wstępu", w którym zarysowują się główne motywy określające poszczególne wątki. Nieudolnie udawana radość postaci ściśniętych na niewielkim placyku przed fabryką cygar z każdą chwilą wydawała się coraz bardziej groteskowa i sztuczna. Wiele mówiło się o technicznych możliwościach krakowskiej sceny, a tu rozdzielona przybrudzoną szybą manufaktury przestrzeń zdawała się ograniczać każdy ruch grających. Za szybą-murem monotonnie przechadzające się robotnice ubrane na biało, przed – ściśnięte z braku miejsca ladacz-



Monika Ledzion (Carmen), II akt.

nice z obowiązkowym cygarem w dłoniach, zerkające niby zalotnie w stronę mocno podchmielonych dragonów (wśród nich Zuniga – Bogdan Kurowski i Moralès – Krzysztof Witkowski) z ustawionego nieopodal posterunku. I tak już pozostanie: wojsko do samego końca ledwo będzie się trzymać na nogach, wszetecznice, kręcąc biodrami, będą krążyć wokół stołu, ewentualnie na nim, karczmarz uparcie będzie nalewał wino, a grupa ulicznych artystów, zaczerpnięta z „Kuglarzy" Picassa (płótno inspirowane akrobatami z paryskiego cyrku Medrano), nasunie pytanie o sens tych pozornych działań, wymuszonych czynności, prowadzących do scenicznego chaosu. Chwilowym powiewem świeżości okaże się dziecięcy chór: chłopcy-ministranci pod bacznym spojrzeniem księdza i dziewczynki-pensjonarki okiełznane surowym okiem nauczycielki.



Monika Ledzion (Carmen), Vasyl Grokholsky (Don Jose), I akt.

Głos z charakterem

Brawa przywitały Carmen, lecz pierwsze takty słynnej „Habanery" wywołały niepokój wyrobionej krakowskiej publiczności. Początkowe zdziwienie przerodziło się w konsternację, po czym stało się jasne, że Małgorzata Walewska walczy z poważną niedyspozycją. Dzielnie dotrwała do końca pierwszego aktu, ale w drugim konieczne okazało się zastępstwo, a solistka opuściła operowy gmach karetką pogotowia. Późniejszy komunikat poinformował, że artystka została przewieziona do specjalistycznego szpitala w Aninie. Monika Ledzion sprawnie weszła w rolę i choć jej początkowy stres był odczuwalny, z upływem czasu gra aktorska nabrała charakteru. Uwodzicielska i niepokorna, obdarzona temperamentem, a co najważniejsze solidna wokalnie udowodniła, że potrafi być Carmen. Jej sopran brzmiał pewnie, mienił się odcieniami barw, bywał lekki, ale miejscami głęboki i ciemny – tercet i aria z kartami „Melons, coupons – En vain pour éviter". Dobrym partnerem okazał się Arnold Rutkowski – Don José. Tenor obdarzony dźwięcznym, nośnym głosem sprostał roli, a popisowa aria „La fleur que tu m`avais jetée" wywołała głośny aplauz słuchaczy. Jeśli coś raziło, to nadzwyczaj ubogi repertuar środków aktorskich i brak wyczucia ruchu scenicznego. Na uwagę zasłużyła Katarzyna Trylnik jako subtelna Micaëla. Śpiewaczka poprowadziła swą postać bardzo konsekwentnie, spokojnie, harmonijnie, co dobrze kontrastowało z żywiołową i bezczelną Carmen. Zarówno w duecie z pierwszego aktu, jak i w arii z trzeciego – upozowana wręcz na Madonnę w skromnej niebieskiej sukience, była przekonująca, a jej ciepły, miękki głos idealnie podkreślał liryczny charakter postaci. Równie dobrze wypadły role drugoplanowe, wnosząc do całości zawadiacki humor, odrobinę zabawy, beztroski, ale i westernowe nawyki przemytników potraktowane z przymrużeniem oka (Frasquita – Marta Brzezińska, Mercédès – Agnieszka Cząstka, Remendado – Imeri Kawsadze, Dancaïre – Przemysław Rezner). Szkoda, że tak blado na ich tle wypadł Martin Babjak – Escamillo. Matowy głos z niedostatkami technicznymi zaprzepaścił szansę, jaką daje rola pełnego elegancji, charyzmatycznego, uwielbianego przez tłum, pewnego siebie toreadora.

Statyczność obrazu i chłód schematów

Przejrzysta konstrukcja dramatyczna, nadzwyczaj efektowna, przejmująca delikatnością lub uderzająca brawurą muzyka i świetnie nakreślone charaktery z jednej strony determinują dzieło Bizeta, z drugiej pozostawiają szerokie możliwości interpretacyjne twórcom spektaklu teatralnego. Porywająca, pulsująca intensywnością i wielością kolorów muzyka podczas krakowskiego widowiska gdzieś przygasła. Grana ostrożnie zdawała się być pozbawiona emocji, pasji. Jakby jednowymiarowość zaproponowana przez reżysera przytłumiła także warstwę muzyczną. Tadeusz Kozłowski, dyrygent doświadczony i ceniony, poprowadził Orkiestrę Opery Krakowskiej nadzwyczaj spokojnie, pasywnie, tylko chwilami dorzucając garść iskier. Zazwyczaj doskonały chór (przygotowany przez Marka Kluzę) tym razem brzmiał niepewnie, wpisując się w płaski charakter przedstawienia. Zniknęła gdzieś w otchłani gorąca Andaluzja, tak pięknie naszkicowana przez francuskiego kompozytora, jakby naznaczona przedłużającą się środkowoeuropejską zimą. Wszystko pozostało zamrożone w schematach i dawnych formach, których Laco Adamik tak bardzo pragnął uniknąć.

Corrida z playbacku

Nawet wyświetlone na finał fragmenty corridy z rozwścieczonym bykiem nie wzruszyły statyczności obrazu, a niespodziewane wtargnięcie na scenę zupełnie współczesnych turystów, bezmyślnie gapiących się na walkę byka, trzaskających beznamiętnie zdjęcia, rozbiło kompletnie jeden z najbardziej dramatycznych duetów operowych, jakie kiedykolwiek napisano. „C`Est toi? C`est moi". Napięcie powinno sięgnąć zenitu; Carmen i Don José na przemian rzucają groźby, błagają, zaklinają, pojawia się płacz, bezsilność porzuconego kochanka, wściekłość i nieugiętość dumnej, hardej, ceniącej wolność ponad wszystko Cyganki, która wybiera śmierć miast pozostać u boku niechcianego José. Ugodzona w serce Carmen osuwa się martwa w ramiona przypadkowego turysty, jakaś postać stojąca z boku nagłym ruchem otwiera wachlarz, chcąc chyba podkreślić dramatyzm? Wcześniej raz jeszcze pojawiają się wystylizowani kuglarze z obrazu Picassa, ale ich roli w tym spektaklu nie mogę jakoś odgadnąć...

Mam nadzieję, że najnowsza propozycja Opery Krakowskiej po dość pechowym początku okrzepnie i pomimo usterek inscenizacyjnych znajdzie swe miejsce na teatralnym afiszu. Wszak „Carmen" to prawdziwy szlagier operowych scen! ■

Fot. Jacek Wrzesiński/Studio MA

TWOJA MUZA
04-2010
2/2



MONIKA LEDZION jako Carmen © JACEK WRZESIŃSKI

Opera Krakowska

Nowa *Carmen*

ANNA WOŹNIAKOWSKA

To jedna z tych oper, bez których trudno sobie wyobrazić repertuar scen muzycznych. W Krakowie jej poprzednia inscenizacja eksploatowana była przeszło piętnaście lat i niezmiennie cieszyła się powodzeniem. Tytuł zszedł z afisza w związku z przenosinami Opery Krakowskiej do nowej siedziby. Już po roku zadbano, by opowieść Bizeta o miłości i zazdrości znalazła się znowu w repertuarze. 5 marca na scenie przy ul. Lubicz odbyła się premiera nowej inscenizacji *Carmen*.

Reżyserii podjął się Laco Adamik, wytrawny znawca teatru muzycznego. Nie silił się na oryginalność za wszelką cenę, zawierzył librettu i muzyce. Ukazał odwieczne ludzkie namiętności, dobrze zarysował sylwetki psychologiczne bohaterów opery. Jedynym pomysłem, który mógł budzić wątpliwości, było wprowadzenie na scenę w ostatnim akcie grupy turystów we współczesnych strojach, oglądających corridę. Jednemu z nich śmiertelnie raniona Carmen osuwa się w ramiona, lecz on udaje, że tego nie widzi. Co przez to chciał powiedzieć reżyser? Czy podkreślić ponadczasowość podstawowych ludzkich pragnień? Czy ukazać znieczulicę współczesnego świata, która nie pozwala, by czyjaś śmierć zakłóciła nasze przyjemności? Przyznam się – nie wiem. Na szczęście scena z turystami nie trwa długo, nie przeszkadza więc widzom i słuchaczom w przeżywaniu dramatu Carmen i Don Josego. Rozgrywa się jakby na drugim planie.

Pomysłowa scenografia i ładne kostiumy są dziełem Barbary Kędzierskiej. W akcie I widzimy plac przed fabryką, a przez jej zamglone okna dostrzegamy pracujące robotnice i konflikt owocujący aresztowaniem Carmen. Podobnie w akcie II przez szyby tawerny oglądamy orszak wielbicieli towarzyszących toreadorowi. W IV akcie ostatnie spotkanie Carmen i Don Josego rozgrywa się na tle corridy. Takie podzielenie sceny na dwa plany, w zamierzeniu bardzo dobre, dodawało żywości akcji, ale w akcie I powodowało chwilami tłok na scenie, choćby wtedy, gdy zmianie warty towarzyszyła pokaźna gromadka dzieci (czemu dziewczęta i chłopcy? Czy nie można było znaleźć wystarczającej liczby śpiewających przedstawicieli płci brzydkiej?). A może na owo zamieszanie miała wpływ nerwowa atmosfera, wywołana na premierowym spektaklu zasłabnięciem Małgorzaty Walewskiej, występującej gościnnie w tytułowej roli.

Carmen to chyba życiowa rola Małgorzaty Walewskiej; w krakowskiej inscenizacji już po raz dziesiąty mierzy się z bohaterką Bizeta. Mam nadzieję, że za kilka miesięcy ujrzę ją w tej roli, bo nawet jej pojawienie się na scenie budziło nadzieję na ciekawą interpretację tej postaci. Tymczasem już habanera zaniepokoiła – zwiastowała coś niedobrego. Artystka z trudem zaśpiewała resztę I aktu, a po zejściu ze sceny zasłabła i wymagała pilnej interwencji lekarskiej. Z powodu poważnej niewydolności krążenia trafiła na oddział intensywnej terapii. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane i spodziewam się, że już wkrótce będziemy się cieszyć wokalnym i aktorskim kunsztem Małgorzaty Walewskiej.

W drugim akcie artystkę zastąpiła Monika Ledzion, która nazajutrz miała debiutować w roli Carmen. Choć najpierw znać było zdenerwowanie tą nieoczekiwaną sytuacją, wkrótce młoda śpiewaczka ujęła interpretacją widzów i słuchaczy. Ten „bojowy chrzest" pozwala mniemać, że artystka obdarzona urodą, temperamentem scenicznym i władająca pięknym mezzosopranem z dużą swobodą i równie wielką muzykalnością, na stałe wpisze Carmen do swego repertuaru.

Spektakl muzycznie przygotował i prowadził Tadeusz Kozłowski, pod którego batutą pięknie zabrzmiały



© JULIUSZ MULTARZYNSKI

KATARZYNA TRYLNIK (Micaëla)

uwertura i intermezzo przed III aktem. Zadbał o bardzo dobrą i wyrównaną obsadę. W partii Don Josego wystąpił Arnold Rutkowski, wyborny wokalnie i ciekawy aktorsko. Micaëlę kreowała Katarzyna Trylnik obdarzona słodkim sopranem i była to rzeczywiście kreacja przemyślana i przeżyta w każdym geście i każdej frazie. Zawiódł mnie nieco Martin Babjak ze Słowacji jako Escamillo: obdarzony ładnym w barwie głosem był nieprzekonywający jako postać, bo zupełnie pozbawiony temperamentu. Z przyjemnością oglądałam i słuchałam wykonawców pomniejszych ról: Marty Brzezińskiej i Agnieszki Cząstki (ładna scena wróżenia z kart), Imeri Kawsadzego, Bogdana Kurowskiego, Przemysława Reznera i Krzysztofa Witkowskiego.

Na premierze zawiódł nieco chór, tym razem chwilami dziwnie niepewny w brzmieniu i intonacji, ale składam to na karb nerwowego nastroju premiery.

ANNA WOŹNIAKOWSKA

Georges Bizet *Carmen*. Kierownictwo muzyczne: Tadeusz Kozłowski, inscenizacja: Laco Adamik, scenografia: Barbara Kędzierska. Premiera w Operze Krakowskiej 5 marca 2010.

RUCH MUZYCZNY
NR 7
04-2010
2/2

Zapłacisz za talent

Autor	Elżbieta Konieczna
Źródło	Miesiąc w Krakowie online
Data	6 kwietnia 2010

Widownia wypełniona premierowo, po brzegi. Atmosfera wyczekiwania. Lubię ten moment w teatrze. Carmen ma dobre wejście, scena ożywa, publiczność zamiera. Prawem opery po słynnej arii pięknej Cyganki powinny być oklaski. I są, ale nie frenetyczne. "Habanera" nieczysta - szepcze znajoma, która się zna, nie bije brawa. Nieczysto - ze zdumieniem w głosie mruczy sąsiad z lewej - nieczysto śpiewa, płytki oddech. Pozornie nic się nie dzieje. Artyści grają, śpiewają, tańczą - cały ansambl, dyrygent za pulpitem, orkiestra w kanale. Niby wszystko w porządku, ale w powietrzu czuje się dziwne przyczajenie, niepewność. Nikt nie spuszcza oka z Carmen - pisze w swoim felietonie Elżbieta Konieczna w Miesiącu w Krakowie

My na widowni i ukradkowo na scenie - Oni. Ten zamglony głos, ledwie zauważalna ociężałość w ruchach. Tak naprawdę nie ma spektaklu, jest wyczekiwanie. Pierwsza przerwa. Kuluary komentują. Tej klasy artystka tak nie śpiewa! Rzeczywiście, artystka Metropolitan Opera, znana ze scen Wiednia, Londynu, Aten, Tokio, San Francisco tak śpiewać nie może. Co się dzieje z niezwykłym, wspaniałym mezzosopranem? Z boku słyszę kategoryczne zdanie: To już nie to, Małgorzata Walewska się kończy. Publiczność to okrutne zwierzę. Jej uwielbienie od złośliwej niewiary dzielą milimetry.

Drugi akt zaśpiewa debiutantka. Miała występować następnego dnia. Wyciągnięta z hotelowego łóżka, błyskawicznie znalazła się w teatrze. Zżerana tremą, spięta, rozkręcała się z minuty na minutę. Szczupła, młoda, ładna, w finale zebrała duże brawa. Będzie się o niej mówić: to ta, która odebrała aplauz Walewskiej. Los pisze życiorysy artystom, jak zechce. Biję z innymi brawo, ale ciągle mam w oczach i uszach tamtą leniwą, czającą się do skoku kocicę, o głębokim, aksamitnym głosie, której dziś się nie udało. Melomani skrupulatnie odliczają: to miała być jej dziesiąta Carmen. Dwie, dotąd najlepsze, zaśpiewała w wiedeńskiej Staatsoper i w Horodion Teather w Atenach.

Dwa tygodnie później w radiu RMF Classic przypadkowo usłyszałam rozmowę z Małgorzatą Walewską: Nauczycielka często mi powtarzała: Moje dziecko, dobry głos, jak dobra kiełbasa, im cieniej kroisz, tym na dłużej starczy. Nagranie musiało być zrobione przed premierą krakowskiej Carmen. Ona sympatyczna, naturalna, ciepła, chętna do zwierzeń. Nie miała w sobie nic z wielkiej gwiazdy. Jej największa radość - to stać na scenie i śpiewać, dla roli jest w stanie dużo poświęcić. Po koncercie, gdy wszyscy idą balować, ona - przed kolejnym występem - spać. Asceza. Jej życie składa się głównie z latania i śpiewania (latania samolotami z półkuli na półkulę). Rodzina? Gdy miała dwa dni przerwy w pracy w operze w Seattle, mąż z córką przylecieli do niej na święta. Życie rodzinne toczy się głównie korespondencyjnie, na szczęście jest Internet i domowe spowiedzi odbywają się przez Skypa. Ma wielu, porozsiewanych po całym świecie przyjaciół, ale brakuje jej czasu na konsumowanie tych przyjaźni, są namówieni na dłuższe rozmowy na emeryturze. Tylko czy da się na kilkanaście, kilkadziesiąt lat zamrozić przyjaźń? Teraz zdarzają się radosne ułamki sekund: na lotnisku w Nowym Jorku wita ją Mariusz Kwiecień, potem imprezują do rana. Oczyma wyobraźni widzę tę balangę Mezzosopranu z Tenorem. Nie mogą pić czerwonego wina, bo szkodzi na głos, pogryzać orzechów, bo wysuszają gardło, jeść czekolady, żeby jako tako się mieścić w kostiumach. Przeraża ich byle chrypka, zakutani w szaliki, nerwowo przełykają ślinę, by się upewnić, czy nie odczuwają złowieszczego drapania w gardle, wielu na wszelki wypadek nie wychodzi z domu. Chcę wierzyć, że z Walewską i Kwietniem nie jest aż tak źle, że oboje wymuszają na sobie pewien luz i dystans do zawodu gwiazdy. Podobnie jak to robił król życia - Andrzej Hiolski. Wino pił, szalika nie nosił, śpiewał do śmierci. Zmarł, mając siedemdziesiąt osiem lat. Ale to był wyjątek wyjątków.

Magia opery polega na pięknych głosach - mówi - liczy się przede wszystkim głos. Przypominam sobie transmisję Aidy sprzed paru miesięcy z Metropolitan Opera w Nowym Jorku w krakowskim kinie Kijów. Partię Ammeris śpiewała Amerykanka Dolora Zajick, brzydka jak siedem nieszczęść, kwadratowa, gruba, (ktoś ze znajomych złośliwie dopatrywał się w niej podobieństwa do posła Ryszarda Kalisza), w dodatku idiotycznie ubrana w coś, co przypominało kapę albo ornat (dokładnie nie pamiętam), ale śpiewała pięknie. Zamykałam oczy i słuchałam wciśnięta w fotel. Po jakimś czasie już nawet nie zauważałam jej monstrualnego wyglądu, liczył się tylko głos. Tak, to jest magia opery.

Czy zdarza się Pani pomyśleć: Dzisiaj nie jest dzień na śpiewanie? - dopytywała się dziennikarka. - Rzadko jest dzień, kiedy czuje się wiatr w żaglach. Im ktoś bardziej popularny, tym ma więcej propozycji, mnóstwo występuje, nie ma czasu na odpoczynek. Zrozumiałam wtedy, o co chodziło nauczycielce, gdy porównywała operowy głos do kiełbasy krojonej w cienkie plasterki. Śpiewają i śpiewają. Śpiewają i rzadko odmawiają, bo scena jest jak narkotyk, bezwarunkowo wciąga. Zdarzają się różne

sytuacje. Walewska kiedyś występowała w premierowym przedstawieniu Trubadura z koleżanką, której w dniu próby generalnej zmarł ojciec. A jednak zaśpiewała. Podobnie Krystyna Janda, którą podziwia za to, że wyszła na scenę w dniu śmierci męża. Bo tak trzeba, jak na bitwie. Nie można sobie pozwalać na psychiczną słabość.

Rozmawiając z dziennikarką RMF Clasic nie wiedziała, że czeka ją ostra próba wytrzymałości. 5 marca 2010 r. - to nie był dobry dzień na śpiewanie Carmen, ale dotrwała do końca pierwszego aktu. Gdy opadła kurtyna, zasłabła. Karetka pogotowia zawiozła ją do szpitala. Stwierdzono kardiologiczną niewydolność płuc. Ludzie sobie opowiadali, że na widowni było wówczas dwóch wybitnych ordynatorów krakowskich klinik kardiologicznych, jakby to miało mieć jakiekolwiek znaczenie dla faktów...

A w ogóle, co my o tym wszystkim wiemy? Że po Habanerze bije się brawo albo gwiżdże? Że dziś wielbimy, jutro nie wybaczamy. Że my to my - zapłaciliśmy za bilety, A oni to oni - wybrali sobie okrutny zawód? Dwa światy, pośrodku emocje.

Na stronie internetowej Małgorzaty Walewskiej podana jest data najbliższych występów: 14 i 15 maja. Carmen. Kraków. Można też tam posłuchać jej pięknego głosu, zachęcam: www.walewska.net

Elżbieta Konieczna

Więcej informacji

Powiązane osoby

1

Małgorzata Walewska

Spektakle

1

Premiera	**Carmen**
5 marca 2010	reż. Laco Adamik

ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO
© 2016 Materiały zawarte na stronie są chronione prawem autorskim

Marzenia dyrektorów, kalkulacje reżyserów

Autor	Justyna Nowicka
Źródło	Kraków nr 4/04-10
Data	6 maja 2010

O wiosennych wydarzeniach teatralnych Krakowa: premierze "Boga mordu" w Teatrze im. Słowackiego, "Amfitrionie" w Starym Teatrze, "Carmen" w Operze i książce Krzysztofa Globisza - pisze Justyna Nowicka w miesięczniku Kraków.

Światowo u Słowackiego

Wyrazisty profil proponuje scena Miniatura w Teatrze im. Słowackiego - wyraźnie pod wpływem koncepcji kierownika literackiego teatru Anny Burzyńskiej. W Miniaturze pojawiają się teksty głośne, o ustalonej europejskiej, a nawet światowej renomie. Skupione bardziej na kameralnych, intymnych relacjach międzyludzkich niż wielkich problemach współczesnego świata. Zwracają uwagę teatralne wersje znanych dzieł filmowych "Bliżej", "Miłość i gniew", a także inspirowane powieścią Bergmana "Rozmowy poufne", wyraźnie w stylistyce filmowych utworów autora "Persony". Repertuar ambitny, wyraźnie sprofilowany, choć czasem łza się w oku kręci za nieudolną, ale jakoś poruszającą, żarliwą adaptacją powieści Daniela Odiji Agnieszki Olsten czy chropowatą, drażniącą stylistyką takich utworów jak Merlin Mongoł Nikołaja Kolady w inscenizacji Rudolfa Zioły. Teraz w Miniaturze zrobiło się elegancko, światowo, bez porażek, ale czasem i bez wielkich emocji.

"Bóg mordu" to najnowsza premiera na scenie Teatru im. Słowackiego. To polska prapremiera najnowszej sztuki znakomitej francuskiej dramatopisarki Yasminy Rezy, znanej w Krakowie m.in. z ciekawej "Sztuki" w reżyserii Krystiana Lupy. Reza jest interesującą postacią - oskarżana wręcz o upodobania do teatru bulwarowego cieszy się sympatią dyrektorów teatrów obu kontynentów. Nie unikają jej sceny proponujące repertuar rozrywkowy, ale nie wstydzą się jej najambitniejsi. Ponoć do inscenizacji szykuje się sam Roman Polański. Bóg mordu - zgodnie uznany przez publiczność i krytykę za najlepszy tekst autorki -ma na swoim koncie spektakularne sukcesy sceniczne. Od 2006 roku wystawiono go kilkadziesiąt razy na scenach najbardziej prestiżowych teatrów, m.in. w Berliner Ensemble, na West Endzie czy Broadwayu.

Na scenie - dwa małżeństwa. Francuzi, wykształceni, nieźle zarabiający. Jest w tym gronie pracownik korporacji, nieco egzaltowana pisarka zajmująca się Afryką, przedsiębiorca i luksusowa pani domu. Kto zna trochę współczesną Francję doceni trafność i smak tej społeczno-obyczajowej charakterystyki. Cała Reza! Zaczyna się od sprawy dość błahej - rodzice pragną podpisać ugodę w sprawie bójki synów. Spotkanie, w nastroju koncyliacyjne, powoli zamienia się w piekło nieporozumień, wyrzutów, pretensji, skrywanych uprzedzeń.

Sztukę wyreżyserował Marek Gierszal, polski reżyser, aktor teatralny i filmowy pracujący na stałe w Berlinie. Ale także absolwent wydziału aktorstwa krakowskiej PWST. Yasmina Reza słynie z tekstów doskonale "skrojonych", ze świetnie rozpisaną strukturą psychologicznych relacji. W tym poprawnie zrealizowanym przedstawieniu zabrakło mi subtelności, jakby każdy problem, temat i motyw wymagał podkreślenia grubą kreską. Jakby reżyser nie był pewien, czy autorka ‚jasno się wyraża". I czy widz naprawdę zrozumiał, o co chodzi. Moim zdaniem struktura Boga mordu jest przejrzysta i logiczna, a dochodzące wciąż ze sceny hałasy, grepsy i szerokie gesty (czy wymiotująca Marta Konarska naprawdę musi wymiotować z takim poświęceniem, czy Marcin Kuźmiński tak wyraziście rozmawiać przez telefon, jakby nigdy wcześniej tego nie czynił?). Zrobił się z tego efekt farsy, a Reza fars przecież nie pisze. Apelujemy o więcej zaufania do publiczności.

Jak Klemm ze Stokfiszewskim

Lubię wspólne spektakle Wojtka Klemma i Igora Stokfiszewskiego w Starym Teatrze. Nic, że przypominają czasem plakaty, ale za to jak świetnie zaprojektowane, jak precyzyjne. Klemm zaistniał w Krakowie jako propagator nieco odłożonego ad acta teatru Brechta, choć wiemy, że sięga także po zdecydowanie inne teksty. Jego "Piekarnia", częściowo przez Stokfiszewskiego zrekonstruowana należała do najlepszych przedstawień sezonu - w formie doskonale zrównoważona, mocna, czytelna, błyskotliwa, świetnie zagrana. Zadatki na taką recenzję miał także "Amfitrion" [na zdjęciu], choć moim zdaniem poprzeczki "Piekarni" nie sięgnął. Jeszcze bardziej precyzyjny, jeszcze bardziej błyskotliwy, z aktorów zrobił kukły-automaty, a z tekstu - manifest. Pozostały idee, zabrakło emocji.

"Amfitrion" Heinricha von Kleista to komedia omyłek, romantyczna parafraza sztuki Moliera będącej przepisaniem rzymskiego dramatu Plauta. Bogowie na czele z Jupiterem interweniują w świat ziemski, czyniąc zeń arenę komicznych nieporozumień. Wcielają się w postaci mitu o narodzinach Herkulesa - w króla Teb Amfitriona i jego sługę Sozjasza, by ich kosztem rozgrywać partię miłosnych szachów z nieświadomymi manipulacji kobietami. Tyle zapowiedzi. Jak zapowiedzieli, tak uczynili. Z tradycji współpracy z teatrami niemieckimi bierze się zapewne aktorstwo, które proponuje Klemm - bez zbędnych ozdobników, w pewien sposób surowe, skupione na komunikatach niesionych przez postaci, efektowne. Postaci - to problemy, tematy, które poddać możemy intelektualnej ocenie. A że temat wcale nie jest taki

jednoznaczny, można sobie po spektaklu pokombinować... Kto tak naprawdę kim tutaj manipuluje? Kto zyskuje, kto traci? Nadmiar kalkulacji tym razem jednak mnie nie zainspirował. Ale jeśli Państwo lubią rozwiązywać krzyżówki...

Czekając na Carmen

0 takiej premierze marzy każdy dyrektor teatru. 0 Carmen w krakowskiej operze mówił cały Kraków. Potem pół Krakowa ustawiło się w kolejkach po bilety na majowe przedstawienia - ponoć nie do zdobycia. Niestety, nie takiego spełnienia marzeń życzymy Panu Dyrektorowi Bogusławowi Nowakowi. Mówiono o "Carmen", bo mówiono o niedyspozycji słynnej śpiewaczki Małgorzaty Walewskiej, mówiono o spektaklu, bo zaniemogła primadonna. Ideał sięgnął bruku czy może raczej Pudelka.pl

Niestety, zamieszanie wokół zastępstw, wyciąganych z łóżka dublerek i kardiochirurgów na widowni zaciemniło obraz artystycznej porażki spektaklu. Bo nie mam wątpliwości, że "Carmen" w reżyserii Laco Adamika to rzadki już w krakowskiej operze przykład artystycznego przeciętniactwa zrealizowanego bez pomysłu i wedle najoczywistszej sztampy. Sam reżyser najpierw wyznał w radiowym wywiadzie, że spektakl miał robić "ktoś inny", a potem pytany o koncepcję mówił przede wszystkim o "konieczności rekonstrukcji repertuaru". Czyli - nieważne jak - publiczność i tak będzie. Co więcej, diagnoza się sprawdza, bo tytuł to rzeczywiście murowany pewniak, podlany sosem niezdrowej sensacji.

Krakowska Carmen to w zgodzie ze schematem opowieść o dzikich namiętnościach w folklorystycznym emploi. Spodobała mi się próba przełamania iluzji sceny poprzez umieszczenie w jej tle majaczącej fabryki - źródła społecznych nierówności, wylęgarni frustracji i tęsknot do lepszego świata. To ciekawa próba interpretacji, szybko jednak przez reżysera porzucona. W tym kierunku mogliby pójść na przykład Klemm i Stokfiszewski... Próbą wzięcia w nawias całej arcymelodramatycznej narracji było wprowadzenie na scenę grupy współczesnych turystów obojętnie przyglądających się, poprzez oka kamery, kulminacji tragicznych zdarzeń. Ale i ten wątek pojawia się tylko na zasadzie ozdobnika.

Jako publiczność poczułam się oszukana - ile można oglądać znaną do znudzenia historię dzikiej Cyganki i zakochanego w niej dezertera? Emocje wcale nie są takie nieśmiertelne, szczególnie jeśli wyraźnie nudzą samego reżysera. I jeśli to naprawdę konieczne, zdecydowanie nie tak wyobrażam sobie rekonstrukcję repertuaru. A pani Małgorzacie Walewskiej życzymy dużo zdrowia!

Globisz nie tylko na scenie

Krzysztof Globisz, jeden z najwybitniejszych polskich aktorów teatralnych i filmowych, pedagog krakowskiej PWST oraz reżyser jest bohaterem książki Olgi Kataflasz "Notatki o skubaniu roli" wydanej przez Wydawnictwo Prószyński. Czytałam recenzję, której autor narzekał, że Globisz jest w swoich wywodach o aktorstwie mętnawy i niekonkretny, ale nie mogę się z tym zgodzić. Styl to człowiek, powiedział George-Louis Leclerc, hrabia de Buffon (oraz Dionizjusz z Halikarnasu). W stylu Globisza jest i niedopowiedzenie, i tajemnica, i... chyba nie wszystko jest na sprzedaż, o czym tak często się dziś zapomina.

Krzysztof Globisz mówi w książce nie tylko o pracy z wielkimi artystami - Wajdą, Jarockim, Lupą i Grzegorzewskim, ale też dzieli się z czytelnikiem refleksją nad sensem swojego zawodu. Opowiada o cenie, jaką płaci się za uprawianie sztuki i o niezwykłym instrumencie, jakim jest ciało aktora. Amatorzy sensacji powinni uważnie przeczytać rozdział o kapliczce poświęconej ojcu Pio, a także o stroju (stroju Adama, wyjaśnijmy), w którym ten wybitny artysta pojawia się... nie tylko na scenie. Reszta niech będzie milczeniem.

- Są jednak tematy, których nie podejmujemy - mówi autorka rozmów, teatrolog i filmoznawca Olga Katafiasz. - Należy do nich prywatne życie artysty. Globisz chętnie podejmuje tematy zawodowe, mówi o tym serio i wprost, ale ponieważ ciężar gatunkowy tych rozważań jest niemały, czasem staramy się jakiś poważny temat potraktować "skubnięciem".

Dla wielbicieli talentu aktora - lektura obowiązkowa.

Więcej informacji

Spektakle

3

Premiera 27 lutego 2010	**Amfitrion. Komedia według Moliere'a** reż. Wojtek Klemm
Premiera 5 marca 2010	**Carmen** reż. Laco Adamik
Premiera 25 marca 2010	**Bóg mordu** reż. Marek Gierszał

ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO
© 2016 Materiały zawarte na stronie są chronione prawem autorskim

Carmen zawsze zaskakujaca

Autor	Anna Woźniakowska
Źródło	Kraków nr 4/04.2010
Data	6 maja 2010

"Carmen" w reż. Laco Adamika w Operze Krakowskiej. Pisze Anna Woźniakowska w miesięczniku Kraków.

Gcorges Bizet żył krótko, zaledwie 37 lat. Zdążył przez ten czas poznać smak sukcesu i gorycz klęski. Był wybitnie utalentowany i dobrze wykształcony. Naukę w Konserwatorium Paryskim rozpoczął jako dziewięciolatek, a dziesięć lat później cieszył się już największym wyróżnieniem, jakie mógł otrzymać w owym czasie wybitny talent, słynną Prix de Romę przyznawaną przez paryską Academie de Beaux Arts. Otrzymał też specjalną nagrodę ufundowaną przez Jacquesa Offenbacha. Wyróżniono nią pierwsze dzieło sceniczne Bizeta, jednoaktówkę "Doktor Miraele" prezentującą gatunek opera comique, czyli operę z dialogami. Bo Georges Bizet, choć w jego dorobku znajdujemy symfonię, suity instrumentalne, pieśni i liczne utwory fortepianowe, był przede wszystkim człowiekiem teatru, twórcą dziewięciu oper. Nie wszystkie ukończył, ale bardzo wcześnie jeden z ówczesnych krytyków pisał, że u Bizeta "pewność pióra, celność tonu, finezja instrumentacji, potoczystość partii wokalnych idą w parze z komiczną werwą i wyczuciem sceny".

Opera przyniosła mu nie tylko rozgłos, ale także zgryzotę, a największą - ostatnie z jego dzieł napisanych dla paryskiej Opera Comique, czyli "Carmen", której libretto nie bez udziału samego kompozytora opracowali według noweli Prospera Merimee wytrawni libreciści Henry Milhac i Ludovic Halevy. 3 marca 1875 roku premiera opery zamieniła się w wielki skandal. Dzieło poniosło klęskę.

To ciekawe, ile takich premierowych klęsk zamieniło się potem w trwały sukces. Na przykładzie choćby "Cyrulika sewilskiego", "Traviaty", "Madamy Butterfly" czy właśnie "Carmen" można zaryzykować twierdzenie, że odrzucenie na premierze wynikające przede wszystkim z niezrozumienia nowatorstwa dzieła (w przypadku Carmen było nim przede wszystkim wprowadzenie do opera comique wątków dramatycznych i brak happy endu) gwarantuje mu potem długie życie. Zresztą mimo skandalu Carmen nie wycofano z repertuaru teatru, ale znów nastąpiła katastrofa, która przydała spektaklowi atmosfery niesamowitości. Oto dokładnie trzy miesiące później, w nocy z 2 na 3 czerwca, po trzydziestym trzecim przedstawieniu "Carmen" Georges Bizet umiera. Podobno pierwszy atak serca przyszedł po premierze, drugiego już nie przeżył.

Czy "Carmen" rzeczywiście niesie jakieś niebezpieczeństwo? 5 marca na premierze nowej inscenizacji dzieła Bizeta w Operze Krakowskiej los znów nie oszczędził nam dramatycznych przeżyć. Nagła niewydolność krążeniowa Małgorzaty Walewskiej, gwiazdy wielkich scen operowych, na której kreację w tytułowej partii wszyscy czekaliśmy z olbrzymią ciekawością i radością, a którą karetka odwiozła (artystka nie opuściła sceny do końca I aktu) na intensywną terapię do kliniki kardiologii, napełniła wszystkich obecnych w operze smutkiem i niepokojem. Spektaklu jednak nie przerwano. Po długiej przerwie w II akcie w partii Carmen pojawiła się Monika Ledzion, młoda mezzosopranistka związana z Warszawską Operą Kameralną. Mimo podwójnego stresu - nagłego zastępstwa i debiutu w głównej partii - w pełni sprostała zadaniu. Ale po kolei...

Nowa inscenizacja jest dziełem wytrawnego znawcy sceny Laco Adamika oraz współpracujących z reżyserem Barbary Kędzierskiej, twórczyni interesującej scenografii i ładnych kostiumów oraz Katarzyny Aleksander-Kmieć, której dziełem była oszczędna, ale przyjemna dla oka choreografia. Reżyser nie szukał jakichś nowatorskich rozwiązań. Skupił się na zróżnicowaniu charakterologicznym głównych postaci, na opowieści o różnym rozumieniu pojęcia "miłość". A więc Carmen - nieznosząca żadnych ograniczeń ani kompromisów, idąca za porywem serca.

Już w pierwszej arii, słynnej habanerze, do której notabene tekst napisał sam kompozytor, bohaterka wykłada swoją filozofię: "gdy gardzisz, kocham cię nad życie, lecz gdy pokocham, to się strzeż". Dlatego uwodzi Don Josego, gdy ten nie zwraca na nią uwagi, ale odrzuca go, gdy widzi, że idąc za nią wciąż cierpi tęskniąc za utraconą stabilizacją. Jej przeciwieństwem jest słodka, niewinna Micaela gotowa dla Don Josego na największe poświęcenia. I wreszcie sam Don Jose, zagubiony, ogarnięty namiętnością, a potem pałający zazdrością. Walczący o Carmen (jej uczucie czy osobę?) ale za nic mający uczucie Micaeli. Skupiony jedynie na sobie. No i jeszcze Escamillo, idol tłumów, pogromca byków. Carmen nie ma czasu dowiedzieć się czy to prawdziwie silny czy tylko zręczny mężczyzna. Swój podziw dla niego przypłaca śmiercią.

To wszystko w spektaklu Laco Adamika jest czytelne, dobrze przeprowadzone. Na premierze wykonawcy należycie spełnili swe zadania aktorskie ciesząc jednocześnie uszy słuchaczy pięknym śpiewem. Dawno nie słyszałam na krakowskiej scenie operowej tak wyrównanego ensemblu odtwórców partii solowych. Pewna jestem po krakowskim debiucie, że Monika Ledzion będzie jedną z czołowych polskich odtwórczyń partii Carmen. Wzruszająca była Katarzyna Trylnik jako Micaela, doskonały wokalnie był Arnold Ruciński wcielający się w Don Josego. Może najmniej interesujący, bo dziwnie pozbawiony temperamentu był Escamillo Martina Babjaka ze Słowacji. Bardzo dobrze spisali się wszyscy wcielający się w pomniejsze role. Nieco zawiódł mnie tym razem chór śpiewający chwilami niepewnie i z ostrym dźwiękiem. Także orkiestrze prowadzonej przez Tadeusza Kozłowskiego, który muzycznie spektakl przygotował, zdarzały się zachwiania intonacyjne.

Czy więc wszystko mi się podobało? Wydaje mi się, że Laco Adamik, absolwent praskiej Akademii Filmowej, zbyt często patrzy na scenę okiem kamery. Dba o to, by w każdej chwili mogła ona coś innego, ciekawego pokazać. Nie zawsze ten ustawiczny ruch jest potrzebny. Inna rzecz, że nie wiem, czy powstające chwilami na scenie w I akcie zamieszanie spowodowane było zamysłem reżysera czy świadomością wykonawców, że coś złego dzieje się z główną bohaterką. Niemniej uważam, że ta inscenizacja zdobędzie odbiorców, bo wiele w niej pięknych obrazów, a muzyka niezmiennie porywa.

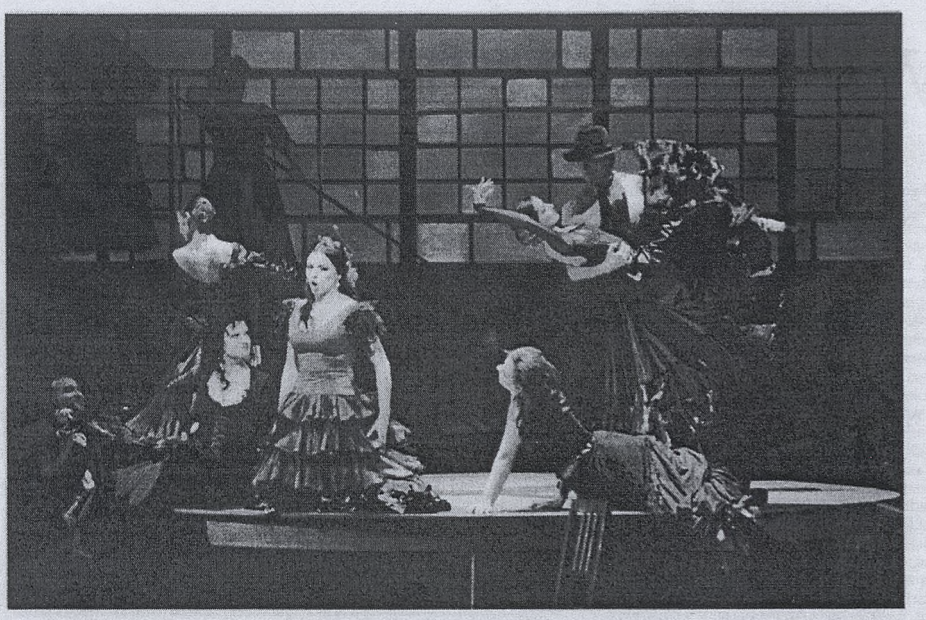
Więcej informacji

Spektakle

1

Premiera	Carmen
5 marca 2010	reż. Laco Adamik

ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO
© 2016 Materiały zawarte na stronie są chronione prawem autorskim



„Carmen", arcydzieło Bizeta, to fenomen, który na całym świecie bije rekordy popularności
FOT. JACEK WRZESIŃSKI

Cena wielkiej sztuki

Opera ze swoim przepychem, rozmachem, elegancją stała się przeciwwagą brzydoty panującej w teatrach dramatycznych; alternatywą dla medialnej brutalności i bylejakości

Agnieszka Małatyńska-Stankiewicz

Pierwszy przyszedł mężczyzna. Stanął przed zamkniętymi szklanymi drzwiami. Była godzina szósta rano. Godzinę później stało za nim 25 kolejnych osób. O dziesiątej, gdy otworzono kasy, przed budynkiem kłębiła się już stuosobowa kolejka. Tak w czerwcu zeszłego roku, przed Nocą Teatrów, widzowie stali po bilety do Opery Krakowskiej.

Już od kilku lat widać, że opera staje się powszechną rozrywką. Uważana za sztukę elitarną, przeznaczona tylko dla bardziej wrażliwych i bogatych, zjednuje nowe rzesze wielbicieli. Opera, gatunek, który królował w XIX wieku, a któremu upadek przepowiadano w latach 60., staje się ponownie modna. Teatry operowe pękają w szwach, zaś kinowe transmisje i retransmisje spektakli z Metropolitan Opera, La Scali czy Covent Garden cieszą się tak wielkim powodzeniem, że trzeba organizować dodatkowe seanse. Podczas gdy w minionym sezonie transmisje z MET obejrzało 1,7 mln widzów z 37 krajów, w tym zobaczy je ponad 4 mln osób z 42 krajów świata.

Opera ze swoim przepychem, rozmachem, elegancją stała się przeciwwagą do brzydoty panującej w teatrach dramatycznych; alternatywą dla medialnej brutalności i bylejakości. Chcemy oglądać wzruszające historie, w pięknej oprawie, wyczarowywane na naszych oczach, którym towarzyszy doskonała muzyka. I za przeniesienie się w ten inny świat potrafimy zapłacić dużo, a za granicą nawet bardzo dużo.

15 metrów

Muzyka z radia cicho płynie. Maszyny do szycia szemrzą jednostajnie. W pracowni krawiectwa damskiego Opery Krakowskiej jest wyjątkowo jasno. Na warsztat trafiły kostiumy z najnowszej premiery baletowej „Kopciuszek". Przywieziono je do poprawek. Tu się rozprulo, tam się zwinęło, trzeba przepatrzeć, przeszyć, wzmocnić. Na wieszakach wiszą suknie z pięknych materiałów: atłas, tafta, żorżeta. Z bliska widać ich niezwykłą urodę: szczegóły zdobienia, szycie, ściegi. Prawdziwe rękodzieła.

– *Kopciuszek, to były trudne kostiumy. Dostałam zdjęcia i na ich podstawie trzeba było wymyślić krój, opracować jak szyć, by uzyskać taki efekt* – mówi wyciągając teczkę z fotografiami – Alicja Tekiela, która w pracowni w Operze spędziła ponad 40 lat. Była już na emeryturze, gdy zaproponowano jej powrót do pracy. Nie wahała się, bo bez magii teatru trudno jej było żyć. – *Na żółte suknie córek trzeba było po 15 metrów materiału. Do tego jeszcze obręcze. Szkoda mówić. Tyle pracy, a po przedstawieniu suknie wróciły do nas wytarte na scenie. Musimy je naprawiać.*

Niektóre kostiumy są arcydziełami, np. endlowane na żyłce suknie do „Traviaty", albo do „Ptasznika z Tyrolu" uszyte z tiulu, który imitował ptasie piórka. – *Tam cała sukienka składała się z listków, doszywałam jeszcze ogon i pióra. Gdy reżyser zobaczył, klasnął w ręce i krzyknął: „Alusiu, bez pudła. Idealnie"* – wspomina Alicja Tekiela.

W tym sezonie wielkie szycie związane było z premierą „Carmen". Do tego spektaklu krawcowe z damskiej pracowni przygotowały 107 sukien, prawie tyle samo było też kostiumów dla panów, zrealizowanych w męskiej pracowni. Przez scenę przewija się bowiem ponad 120 osób, w tym soliści, chórzyści, balet, statyści.

W sumie tylko pracownia damska na uszycie kostiumów do „Carmen" zużyła 800 metrów bieżących materiałów oraz blisko 1,5 kilometra dodatków. Przygotowaniom do premiery towarzyszyły także liczne przeróbki ze starych kostiumów, wyciągniętych z magazynów. – *Czasem nada się rękaw, czasem gorset, albo falbany. Teraz takie czasy, że wszystko się wykorzystuje* – tłumaczy Katarzyna Kłębczyk, szefowa damskiej pracowni krawieckiej.

– *Doskonałych kostiumów nie pozwalamy jednak zniszczyć. Bronimy własną piersią, chowając w magazynie przed scenografami. Ostatnio zauważyłyśmy, że tylko jeden kostium zachował się po Iwonie Borowickiej* – mówi Alicja Tekiela.

Numer 1

„Carmen", arcydzieło Bizeta, to fenomen, który na całym świecie bije rekordy popularności. Opowieść o miłości sierżanta do pięknej Carmen, gdzie króluje namiętność, zdrada i śmierć, swoją popularność zawdzięcza przede wszystkim muzyce. Niemal każda aria to hit. Bo któż nie zna „Habanery" czy „Pieśni torreadora". Trudno się zatem dziwić, że w Krakowie bilety – 760 miejsc – na spektakl „Carmen" sprzedają się w godzinę, niezależnie od tego, kto śpiewa w partiach solowych. Dlatego na sześć kolejnych spektakli, które zostaną pokazane jeszcze do końca sezonu, nie ma już ani jednego wolnego miejsca.

Dlaczego Opera Krakowska nie zagra więcej spektakli „Carmen", skoro tak dobrze się sprzedają? – *Jesteśmy teatrem repertuarowym, a nie typem sceny sezonowej, gdzie mamy jeden tytuł i zgrywamy go przez miesiąc, rok czy przez kilkanaście lat, jak to dzieje się na Broadway'u. Publiczność od nas wymaga, abyśmy grali także inne spektakle* – mówi Bogusław Nowak, dyrektor Opery Krakowskiej.

Tym bardziej, że te inne spektakle w Operze Krakowskiej także sprzedają się wyśmienicie: „Faust" Gounoda, „Don Giovanni" Mozarta, „Straszny dwór" Moniuszki czy „Zemsta nietoperza" Straussa. Na te spektakle średnia frekwencja wynosiła w zeszłym roku dobrze ponad 90 procent. Wyjątkiem są „Diabły z Loudun" Pendereckiego, które cieszą się nie tak wielkim zainteresowaniem publiczności i mają 57-procentową frekwencję.

W La Scali za bilet na najbliższą „Carmen" trzeba zapłacić od 235 do 636 dolarów (ok. 770 – 2080 zł), w Metropolitan Opera od 280 do 763 dolarów (ok. 900 – 2500 zł), w Teatrze Wielkim Operze Narodowej od 20 do 130 zł, zaś w Operze Krakowskiej od 25 do 120 zł.

W największych teatrach operowych ceny biletów są zróżnicowane i nie tylko zależą od miejsca fotela, ale od popularności tytułu oraz inscenizacji, a także od wyprzedzenia, z jakim kupowany jest bilet. Czyli im bliżej do premiery, tym bilety droższe. W La Scali bilet na lipcowego „Fausta" kosztuje od 221 do 782 dolarów. W MET za bilet na wrześniową „Toscę" trzeba zapłacić 54–392 dolary, październikowego „Borysa Godunowa" – 55–455 dolarów, na „Don Pasquale" i „Carmen" w listopadzie – 55–457 dolarów.

Razy 10

W Operze Krakowskiej ceny biletów także są zróżnicowane. Bilet na spektakle dziecięce kosztuje 15, 20 zł; na małe przedstawienia, takie jak „Śpiewam miłosny rym" czy „Historia żołnierza", 35 zł, na spektakle przedpołudniowe do 50 zł, na „Fausta" czy „Diabły z Loudun" do 100 zł a na tytuły najbardziej popularne m.in.: „Dama pikowa", „Rigoletto", Straszny dwór" do 120 zł. Wprowadzona też została kategoria premiery i wydarzenia specjalne 40–140 zł. Ostatnio najdrożej sprzedanymi okazały się bilety na koncerty z Mariuszem Kwietniem i Aleksandrą Kurzak: od 100 do 400 zł. Choć Mariusz Kwiecień z powodu choroby nie zaśpiewał i został zastąpiony przez Artura Rucińskiego, a kasa operowa wyjątkowo oddawała pieniądze za bilety, zwrotów nie było aż tak wiele.

– *Według naszych symulacji wynika, że dopiero gdyby ceny biletów były około dziesięciokrotnie wyższe, pozwoliłyby na zbilansowanie poniesionych kosztów. Jednak ponieważ niemożliwe jest, aby bilet do Opery na droższe przedstawienie kosztował tysiąc zł, a na tanie 200 zł, różnicę pomiędzy ceną a jego rzeczywistą wartością pokrywa teatr z dotacji. I tak się dzieje na całym świecie. Opera jest zawsze dotowana. I musimy się z tym pogodzić* – mówi dyrektor Nowak.

Opera to najdroższa ze sztuk. Na scenie znajduje się często blisko 200 osób, które występują – tak jak w przypadku Opery Krakowskiej – tylko dla 760 widzów. Do tego jeszcze w kulisach pracuje przy przedstawieniu około 50 osób. – *Opera to wielkie przedsiębiorstwo produkcyjne, wielki zakład z normalnymi problemami. To m.in. pracownie krawieckie, ślusarskie, stolarskie, modelarskie, a także fryzjerki* – podkreśla Wiesław Sawa, zastępca dyrektora ds. produkcji, główny inżynier. – *Opera jest niezym wielkie urządzenie, które musi sprawnie działać w różnych okolicznościach.*

Ok. 100 osób zatrudnionych jest przy produkcji przedstawienia. Jedni odpowiadają za eksploatację tytułów będących na afiszu, inni pracują przy powstawaniu nowych spektakli. Dekoracje do pięciu tytułów mieszczą się w podziemiach teatru, pozostałe muszą być wywiezione do magazynu na ul. Romanowicza.

Najdroższą produkcją była „Carmen". Koszty związane z przygotowaniem i wystawieniem spektaklu wyniosły ok. 1 mln zł; ale już baletu „Spojrzenia" 350 tys. zł, a widowiska poetyckiego rozgrywającego się na scenie kameralnej „Śpiewam miłosny rym" 100 tys. zł. To, że widzowie zobaczą jeden spektakl, kosztuje w przypadku „Carmen" 47 tys. zł, baletu „Spojrzenia" 30 tys. zł, a „Śpiewam miłosny rym" 15 tys. zł, zaś wpływy z biletów w kolejności wynoszą: 36 tys. zł, 22 tys. zł i 4 tys. zł.

Po zsumowaniu wszystkich kosztów stałych i zmiennych oraz wpływów do kasy wynika, że średni koszt jednego spektaklu wynosi niewiele ponad 182 tys. zł, zaś wpływ za jeden spektakl 16,5 tys. zł. Widz powinien średnio za bilet zapłacić 331 zł, tymczasem płaci średnio 33 zł. Co znaczy, że Opera do każdego biletu dopłaca z dotacji 298 zł.

Piekło na ziemi

Na środku pracowni na wielkiej jasnej ladzie rozłożone są bele materiału. Leżą tiule, atłasy, szyfony, żorżety. Obok rysunki do premiery bajki dla dzieci „Księga lasu". – *Skrzydła trzeba mu uszyć z koła, bo inaczej nie będzie mógł podnieść rąk tak wysoko* – pokazuje Alicja Tekiela.

– *W teatrze należy nie tylko dobrze szyć, ale także znać wiele sztuczek. Bo kołnierzyk w sukience musi być przyszyty, aby nigdy się nie odwinął, bo talia niby jest w pasie, a jednak trochę poniżej, aby tancerz mógł mocno objąć partnerkę przy podnoszeniach* – tłumaczy Katarzyna Kłębczyk.

Trzeba być także dyspozycyjnym. Przed premierą nieraz należy wykończyć, zmienić, poprawiać. – *Mój rekord, to gdy przez trzy noce usyłam 19 gorsetów. Wystarczy także telefon, by biec w niedzielę do pracy. Nie wszyscy to wytrzymują* – śmieje się Alicja Tekiela. – *Przy „Carmen" tak było. Dziewczyny miały tylko dwie godziny, by dopasować suknię śpiewaczce, która przyjechała na nagłe zastępstwo. Zresztą to przedstawienie od początku było pechowe. Reżyser trafił do szpitala, scenografka się przewróciła, techniczny złamał nogę, a na koniec po pierwszym akcie zasłabła pani Walewska.*

Próba generalna to dla krawcowych piekło na ziemi. Siedzą wtedy na widowni i obserwują. Co się źle układa w ruchu, co się marszczy, zwija. Planują, jak poprawić. Wracają do pracowni i w wielkim pośpiechu znowu czeka je prucie, szycie, prucie, szycie. – *Gdyby nas to nie cieszyło, to byśmy tu nie pracowały* – mówi Katarzyna Kłębczyk, po czym dodaje: – *Sztuka wymaga poświęceń także od nas: sztuka ma swoją cenę.*

***

Mężczyzna stanął pod szklanymi drzwiami Opery Krakowskiej. Obserwował chwilę. Wreszcie zdecydował się. Tym, co odeszli zawiedzeni od kasy, zaproponował kupno zaproszenia na spektakl. Szybko zamienił tekturowy blankiet na pieniądze i odszedł zadowolony. Bo wie, że bilety do Opery to dobry towar i na zaproszeniach wygranych w konkursach w mediach można nieźle zarobić.

DZIENNIK POLSKI
14-05-2010

17.05.2010

Carmen z widokiem na byka

"Carmen" w reż. Laco Adamika w Operze Krakowskiej. Pisze Łukasz Badula w portalu kulturaonline.pl

Ten spektakl miał być mocnym akcentem w programie Opery Krakowskiej. Przypomnieniem klasyki z dużym przytupem, bo Laco Adamik - uznany twórca teatralnych widowisk reżyserował Małgorzatę Walewską - wybitną śpiewaczkę. Stało się inaczej, jeśli wierzyć przesądnym, głównie z powodu fatum ciążącego nad obranym dziełem operowym. Bo "Carmen" Georgesa Bizeta już w przeszłości przynosiła kłopoty. Kilkanaście lat temu, premiera opery zebrała w Krakowie ponure żniwo pod postacią śmierci dyrygenta Aleksandra Tracza. Z kolei sama Walewska, została niegdyś zaangażowana do feralnej inscenizacji "Carmen" na Torwarze, która skończyła się odwołaniem premiery i wielkim skandalem z oszukanymi widzami.
Jak wiadomo, czołowej rodzimej mezzosopranistce nie było dane wystąpić także w spektaklu Adamika. W trakcie marcowej premiery, po pierwszym akcie solistka zasłabła i została odwieziona do szpitala. Jej stan okazał się na tyle poważny, iż do tej pory nie wróciła ona na deski Opery. Ba, pod znakiem zapytania stanął udział solistki w spektaklach podczas Letniego Festiwalu Opery Krakowskiej.

Absencja Walewskiej z pewnością determinuje odbiór dzieła Adamika. Nie ma co oszukiwać się, iż popularna śpiewaczka była jedynie pionkiem na szachownicy reżysera. Walewska zna rolę Carmen niejako na wylot, a jej występ w gliwickiej adaptacji Pawła Szkotaka był dwa lata temu był sporym wydarzeniem artystycznym. Po kreacji u Adamika oczekiwano sumy doświadczeń i, co dużo mówić, mocarnych partii głosu.

Tymczasem ciężar dźwignięcia roli Carmen spadł w całości na trzy młode śpiewaczki. Oglądana przez niżej podpisanego Agnieszka Cząstka mimo najlepszych starań nie była w stanie w pełni sprostać zadaniu. I nawet nie idzie o walory techniczne, lecz sceniczne obycie. Kusząca Carmen to przecież w równym stopniu postać fatalistyczna, co wyzwolona od konwenansów. Walewska zapewne wie, jak oddać jej złożoność, również za pomocą środków aktorskich. Cząstka klucza do garderoby Carmen jeszcze poszukuje. Co widać zwłaszcza w porównaniu z partnerującym jej przebojowym i charyzmatycznym Arnoldem Rutkowskim.

Adamik dość buńczucznie zapowiadał swą "Carmen" jako zerwanie z Cepelią. Istotnie, jego inscenizacja unika operowego folkloru, wyraźnie zmierzając ku teatralizacji. I wielka szkoda, że reżyser zatrzymuje się tu niejako w pół drogi. Scenografia Barbary Kędzierskiej jest przesadnie surowa co do zimnego, industrialnego wystroju. Aż prosi się, żeby z takiego otoczenia wysnuć dość abstrakcyjny portret Carmen. Tym bardziej, iż np. początek aktu II, z tańcem w tawernie, jest rozegrany w dość nowoczesnej

aranżacji choreograficznej, zaś w akcie IV pojawia się telebim oraz grupka współczesnych turystów.

Ci przybysze z krainy nowoczesności widzowi raczej przeszkadzają niż pomagają. Albowiem spektakl Adamika jest wbrew pozorom mocno tradycjonalistyczny. "Carmen" krakowskiej Opery Narodowej w żaden sposób nie sprzeniewierza się duchowi oryginału.To w dalszym ciągu opowieść o ślepym pożądaniu i tragicznej miłości. Rozegrana bądź co bądź, w realiach XIX wiecznej Hiszpanii, między fabryką cygar, cygańskim taborem a areną cyrkową. Don Jose, wbrew wcześniejszym sugestiom Adamika, nie jest wcale bliski współczesnym gwiazdom mediów. To ten sam zaborczy sierżant, idący w mezalians i nie potrafiący pogodzić się z utratą pożądanej kobiety.

Wśród recenzji po premierze można było wyczytać m.in. że u Adamika wszystkiego jest nadmiar. Czy to jednak źle? Reżyser próbuje przynajmniej ożywić przestrzeń sceniczną, naganiając nań tłumy, które tworzą barwne, dynamiczne tło. Charakterystyczne, że gdy tylko przed widzem staje samotna postać, całość natychmiast nabiera cech solistycznej kameralistyki, a nie dzieła o dramaturgicznym podłożu. Szkoda, iż Adamik nie pozwolił sobie na większą fantazję w zakresie formalnym. Po Trelińskim trudno już robić operowy kanon bez wizjonerskiego zacięcia.

Z krakowskiej "Carmen" na dobrą sprawę pozostaje... byk. Pokazywany we wspomnianej końcówce na telebimie. To jeden z niewielu tropów dla poszukiwaczy nowości. Torreador poskramia byka, ale nie jest w stanie ujarzmić intensywnie żyjącej i kochającej tytułowej bohaterki. Właśnie, gdy tam na arenie toczy się walka z dzikim przeciwnikiem, Don Jose równocześnie morduje swoją miłość.

Dwóch mężczyzn, jedna kobieta i wulkan emocji. Turyści błądzący po scenie, i tak wolą oglądać byka. Triumf machizmu czy jego łabędzi śpiew w epoce wszędobylskich podglądaczy? Takie sygnały to trochę za mało jak na reżyserski kaliber Adamika. Chociaż dla wielbicieli operowego gatunku, jego "Carmen" musi być byczą zabawą. Wszystkie bilety na spektakle w bieżącym sezonie rozeszły się jak świeże bułeczki.

Tytuł oryginalny
Carmen z widokiem na byka

Autor:
Łukasz Badula

Źródło:
Materiał nadesłany

Data:
17.05.2010

www.kulturaonline.pl

TWOJA MUZA VI-VII 2010 122

Moją duszę posiadła Azucena

Na świecie jestem znana głównie jako Amneris. Występuję w tej roli od Kataru po… kaszel. Ostatnio śpiewałam Amneris na festiwalu we Francji. Recenzenci pisali w nagłówkach: „Jej Wysokość Amneris".

JOWITA DZIEDZIC-GOLEC: Carmen jest pani cheval de bataille. Dlatego zacznę od tej opery. Już w kilka lat po prapremierze grano „Carmen" w 15 miastach na trzech kontynentach. I tak rozpoczął się triumfalny pochód tej opery przez sceny świata. W 1907 roku przed teatrem w Sao Paulo doszło do bójki, w której zginęło kilka osób, ponieważ nie dla wszystkich starczyło biletów. Dziś nikt na szczęście nie ginie, ale zainteresowanie tą operą nie słabnie. W czym tkwi tajemnica sukcesu?

MAŁGORZATA WALEWSKA: Ta opera ma związek z ludzkimi przeżyciami, w wymiarze uniwersalnym. Bo na przykład „Aida" jest też operą popularną, ale już mniej, dotyczy wyższych sfer; królowa zakochuje się w dzielnym wojowniku itd. „Cavalleria rusticana", też przepiękna opera, krótka, ciesząca się wielkim powodzeniem, opisuje sytuację stricte sycylijską, czyli dzieje się w pewnym hermetycznym kręgu. Carmen natomiast, oprócz tego, że jest Hiszpanką, ma temperament młodej kobiety. A emocje, które miotają wszystkimi bohaterami, są uniwersalne. Może właśnie w tym tkwi tajemnica sukcesu. Muzyka jest piękna, ale według mnie, nie ona zaważyła na popularności, bo piękną muzykę ma wiele oper. Może decyduje różnorodność, „Carmen" jest dynamiczną historią. I może też fakt, że jest o Hiszpanii, a napisał ją Francuz.

„Carmen" nie od dziś jest jednym z najbardziej kasowych przebojów operowych, jednak publiczność nie od razu doceniła to dzieło.

Przede wszystkim nie było happy endu. Bizet zaskoczył publiczność. Temu zresztą przypisywano początkowe niepowodzenie tej opery. Bizet bardzo to przeżył. Niedługo po tej premierze zmarł.

W czasach gdy dzieło Georges'a Bizeta zdobywało popularność, takie kobiety jak tytułowa Carmen akceptowano jedynie w dzielnicach rozpusty, a nie na scenach teatralnych?

A może właśnie to jest tajemnicą popularności. Wreszcie odważono się wypromować kobietę wolną i otwartą. I wyzwoloną.

Kiedyś prasa domagała się zakazu wpuszczania nieletnich na przedstawienie z uwagi na niemoralność historii pokazanej w „Carmen", a dziś wielu młodych melomanów zaczyna operową edukację właśnie od „Carmen".

Teraz od nieletnich można się wiele nauczyć (śmiech). Ale bardzo istotne jest pierwsze doświadczenie operowe. Ważne jest, żeby młody człowiek, który po raz pierwszy wybiera się do opery – fajnie jak jest młody, choć ja znam takich, co w wieku sześćdziesięciu lat odkryli operę i zostali melomanami – wyniósł pozytywne wrażenia. Trzeba trafić na muzykę, która jest odpowiednia do wieku, oraz historię, która nas przekona. Przede wszystkim, żeby to było w jak najlepszym wykonaniu. Nie ma nic gorszego niż zła opera, ale nie ma też nic lepszego niż dobra. Można się zrazić na całe życie albo na całe życie zakochać. Mnie się udało zakochać, miałam kilkanaście lat, nie pamiętam dokładnie, dwanaście, czternaście, jak mama mnie zabrała po raz pierwszy do opery na „Halkę". I to było ważne wydarzenie w moim życiu. Strasznie płakałam na tej operze. Nie wiem, co mnie bardziej wzruszyło – historia czy piękny śpiew, ale myślę, że jedno i drugie.



Małgorzata Walewska: Czasami żałuję, że nie jestem sopranem, czasami, że nie jestem tenorem, a czasami, że nie jestem basem i barytonem.

I to było dobre wykonanie?

O tak! Nie wiem, kto śpiewał. Jako nastolatka w ogóle się tym nie interesowałam. Było też inne, śmieszne doświadczenie. Miałam swoją ulubioną bajkę muzyczną na starej analogowej płycie. Była to bajka o Złotej kaczce, która mieszkała w podziemiach w Zamku Ostrogskich. Ponieważ mieszkałam blisko tego pałacyku, bardzo mnie fascynowało, że tuż obok dzieją się takie cuda. Po latach, jak już zaczęłam się uczyć śpiewać i trafiłam do profesor Haliny Słonickiej, odkryłam, że to ona była wykonawczynią Złotej kaczki na tej płycie.

Ile inscenizacji „Carmen", tyle pomysłów na nowe odczytanie tego wyjątkowego dzieła. Które ze znanych inscenizacji stawia pani najwyżej?

Nie można na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Dla początkujących widzów i dla mnie jako początkującej artystki, wykonującej ten trudny zawód, wielkim przeżyciem było wzięcie udziału w spektaklu Zeffirellego w Operze Wiedeńskiej. W 1997 roku miałam przyjemność śpiewać „Carmen" właśnie w jego reżyserii. Ta produkcja już wtedy miała dwadzieścia lat, ale przedstawienia Zeffirellego to elementarz operowy. Franco przygotowuje je z wielkim poczuciem estetyki i prawdy scenicznej. Wszystkie miejsca wyglądają dokładnie tak, jak widzieli je kompozytor z librecistą. Wiele lat później, w 2005 roku śpiewałam w operze „Cavalleria rusticana" również w reżyserii i scenografii Zeffirellego w Metropolitan Ope-

ra. I to też był elementarz operowy. Uważam, że każdy powinien zobaczyć takie podejście do opery, ale z drugiej strony nie możemy powielać w kółko tych samych schematów. Bawi mnie i fascynuje otwieranie nowych drzwi, odkrywanie nowych tajemnic. Pasjonuje nowe podejście reżysera. „Carmen", którą stawiam najwyżej z produkcji zaśpiewanych do tej pory, to ta Roberta Skolmowskiego we Wrocławiu w 2005 roku. To przedstawienie było realizowane jak „Matrix". Ubrali nas w czarne, skórzane płaszcze i w czarne kapelusze. Z broni palnej zabiłam trzech facetów – sprawiło mi to dużą satysfakcję. Pracowaliśmy z aktorami, przedstawienie było do bólu współczesne. Pierwszy akt śpiewałam w spodniach. Historia koncentrowała się na rewolucji hiszpańskiej; dyktator obwieszony orderami siedział w gablocie, cały czas był obecny na scenie. Chcieliśmy dotrzeć do tego dyktatora i zabić go, aby wyzwolić Hiszpanię z ucisku. Wiadomo, że w „Carmen" są przemytnicy. My przemycaliśmy narkotyki, a za pieniądze z przemytu kupowaliśmy broń, aby móc zorganizować rewolucję. Escamillio występował w telewizji i jako narodowy artysta, odznaczony medalami, miał dostęp do dyktatora. W momencie, w którym Escamillo wychodzi w góry, żeby się spotkać z piękną Cyganką, w której się zakochał, chodzi tylko o pretekst, bo tak naprawdę byliśmy umówieni, że przyjdzie po pieniądze i broń, z której zabije dyktatora. Ostatni akt odbywa się na corridzie, na której są tylko Carmen i Don José. Znajduje się tam także ekran telewizyjny. Właśnie jest transmitowana ceremonia odznaczania Escamilla, który podczas tej uroczystości ma zabić dyktatora. Carmen wpatruje się w ekran, jest wielkie napięcie. Don José jej przeszkadza, bo jest zazdrosny o faceta na telebimie. W końcu traci cierpliwość i zabija Carmen, która ginie w tej samej chwili co dyktator na ekranie. Fascynujące podejście, bardzo konsekwentne. Ta inscenizacja nie miała momentów, których by się nie dało wytłumaczyć. Miałam wrażenie, że grałam w filmie. To było wyjątkowe przeżycie.

Nieraz próbowano podporządkować Carmen kategorii femme fatale, ale usiłowania te były daremne. Może dlatego, że Carmen nie zdobywa mężczyzn, to oni zabiegają o jej względy.

Femme fatale? No nie wiem. Ona jest szczera. To naturalna dziewczyna, która jest wielką indywidualnością i wie, czego chce. Kocha szczerze, więc ja bym absolutnie ufała jej uczuciom. Ona lubi wyzwania i szybko się nudzi. Związek z Don José, który jest cały jej, przestaje być dla niej interesujący. Dlatego intryguje ją silny zdobywca – Escamillo, człowiek, który jest na topie, o którym się pisze w gazetach, ogląda w telewizji. Taka sława jest podniecająca. Śpiewając różne opery, zauważam, że emocje między ludźmi są zawsze takie same. Jest tylko kwestia tego, w jakim czasie to zostało osadzone i jakie są konwenanse, na jak wiele sobie można pozwolić.

Jaką jest pani Carmen? Jak pani czuje tę postać?

Moja bohaterka dojrzewa razem ze mną. Po raz pierwszy wcieliłam się w Carmen w 1995 roku, to przedstawienie zostało zrealizowane w Operze Warszawskiej specjalnie dla mnie. Gdy stoję na scenie, staram się myśleć kategoriami mojej bohaterki, zastanawiam się, co ona by zrobiła w takiej sytuacji. Oczywiście Carmen z każdej inscenizacji jest wypadkową tego, czego chce reżyser, i mojej osobowości. Musimy się gdzieś spotkać między dwoma punktami widzenia. Należę do artystów, którzy ufają reżyserowi.

Jest pani bardzo wyrazistą artystką, która potrafi wykorzystać skrajne emocje, potrzebne do budowania mocnych, charakterystycznych postaci.

Na świecie jestem znana głównie jako Amneris. Występuję w tej roli od Kataru po… kaszel (śmiech). Ostatnio śpiewałam Amneris na festiwalu we Francji. Recenzenci pisali w nagłówkach: „Jej Wysokość Amneris". To jest naprawdę rola, w której czuję się jak ryba w wodzie. Ostatnią, nową rolą, która posiadła moją duszę, jest Azucena. To kobieta dojrzała, nasycona skrajnymi emocjami – od troskliwej matki do morderczyni, która traci zmysły. Bardzo ważną rolą w moim życiu jest też Dalila, którą debiutowałam w Metropolitan Opera u boku José Cury. „Samson i Dalila" Saint-Saënsa jest niestety rzadko wystawiana. Ta rola pozwala mi zaprezentować pełen wachlarz możliwości aktorskich. Uważam się za aktorkę, staram się unikać sztampowych, operowych gestów i myślę, że to się udaje. Oczywiście, jest to tym łatwiejsze, im mniejsza scena. W średnim amerykańskim teatrze widownia ma dwa tysiące miejsc, w MET są cztery tysiące. W związku z tym gest musi być tak wyrazisty, żeby był widoczny w ostatnim rzędzie. Ale proszę mi wierzyć, jeżeli ma się emocje w sobie, publiczność to czuje. Ja mam bardzo dobry kontakt z publicznością. I to jest dla mnie wielkie przeżycie, gdy czuję, że cała czterotysięczna widownia jest skupiona. Dla tych momentów warto wykonywać ten zawód.

Czy zdarzyło się pani kiedyś żałować, że nie śpiewa sopranem?

Oczywiście. Czasami żałuję, że nie jestem sopranem, czasami, że nie jestem tenorem, a czasami, że nie jestem basem czy barytonem (śmiech). Bo na każdy z tych głosów są napisane przepiękne role. Zaczynając śpiewać, miałam takie folklorystyczne podejście: „im wyżej, tym lepiej", myślałam, że trzeba śpiewać cienko i wysoko, żeby było ładnie. Potem okazało się, że nie tędy droga. Pamiętam, jak chciałam śpiewać „Słowika" Alabieva. Moja pani profesor powiedziała wtedy: „dziecko, słowik to z ciebie drewniany" (śmiech). Wzięłam tę uwagę do serca i rzuciłam „wysokie role". Ponieważ mam dosyć sporą skalę głosu, niełatwo było w moim przypadku znaleźć średnicę głosu. Trzy lata trwały poszukiwania, żeby odkryć, że jestem mezzosopranem o altowej barwie. Kiedy odkryje się swoją tessiturę, idzie trochę szybciej. Wiadomo, jaki repertuar dobierać, żeby się człowiek dobrze czuł. To najważniejszy moment w karierze młodego śpiewaka, żeby być właściwie „zdiagnozowanym" (śmiech).

Kondycja polskiej opery... W czym tkwi problem, że naszym scenom operowym dużo jeszcze brakuje, by mogły konkurować z zagranicznymi?

Przede wszystkim pieniędzy. Jeżeli rozejrzymy się dookoła, okaże się, że mamy doskonałych reżyserów, świetnych scenografów. Pamiętam, jak pojechałam pierwszy raz na zagraniczny kontrakt do Opery Wiedeńskiej i zobaczyłam tam scenografię, pomyślałam, że oni mogliby się wiele nauczyć od Andrzeja Majewskiego. Mamy też wspaniałych śpiewaków. Ale mamy też jakiś poważny problem z dysponowaniem pieniędzmi. Są oczywiście wyjątki. Ewa Michnik wie, jak pozyskiwać pieniądze i jak nimi właściwie dysponować. Ten problem dotyka w ogóle wszystkich muzyków w Polsce. W Operze Wiedeńskiej, w San Francisco i wszędzie, gdzie byłam ostatnio na świecie, orkiestra ma tylko jedno zadanie – przygotować przedstawienie. Za to dostają pieniądze, które pozwalają im siedzieć w domu, ćwiczyć i utrzymać z tego rodzinę. A w Polsce muzyk z orkiestry robi jednocześnie pięć różnych rzeczy plus chałtury, żeby związać koniec z końcem. Więc jak on może być wypoczęty i dobrze przygotowany do spektaklu? To jest naprawdę bolesne. ■

Fot. Adam Golec

Don José i Micaëla: baskijska opera Picassa?



Pierwowzór obrazu scenicznego: *Rodzina kuglarzy* Pabla Picassa

Oboje są Baskami i za sprawą odtwórców: Arnolda Rutkowskiego oraz Katarzyny Trylnik (śpiewającej na zmianę z Izabelą Matułą), zdecydowanie wysunęli się na pierwszy plan w nowej krakowskiej inscenizacji *Carmen* Georges'a Bizeta. Zresztą już plakat autorstwa Barbary Kędzierskiej i Laco Adamika (zarazem realizatorów omawianej premiery) pozostawiał w niepewności, kto jest głównym bohaterem oraz jaka jest jego płeć. Znajdująca się na nim postać z obnażonym torsem jest na tyle androgyniczna, że nasuwają się w tym względzie spore wątpliwości. Umieszczono na niej pąsowy napis „Carmen" oraz nieco niżej krwawe plamy, które sugerowałyby, że chodzi o uwodzicielską Cygankę zasztyletowaną w finale. Wszelako niezbyt imponujący biust i jakby sypiący się zarost na skrytej w cieniu kapelusza twarzy wskazywałyby na mężczyznę, choć wspomniany napis na tyle przesłania szyję, iż próżno w grdyce szukać rozstrzygnięcia. Rzecz się wyjaśnia dopiero w trakcie przedstawienia, kiedy podczas otwierającego II akt tańca cygańskiego pojawia się wystylizowany na Cygankę tancerz. Czyżbyśmy zatem mieli do czynienia z kolejnym cieniem Don Jogo? Już w poprzedniej krakowskiej inscenizacji pojawiał się on jako skazany za morderstwo głównej bohaterki, w oczekiwaniu na egzekucję, która była, niczym u Prospera Merimée (autora literackiego pierwowzoru), jego przedśmiertną wizją.

Za Mussetem — z lekka strawestowanym — można by powtórzyć, iż nie igra się bezkarnie z losem, gdyż podczas premierowego spektaklu zasłabła wykonawczyni partii Carmen Małgorzata Walewska (w dalszych aktach zastąpiła ją Monika Ledzion). Na marginesie warto zauważyć, iż do *Carmen* w Krakowie powoli przylgnąć może opinia dzieła przynoszącego nieszczęście, albowiem przed 13 laty, też po I akcie, zasłabł prowadzący ją wówczas Aleksander Tracz, który zmarł kilka godzin później, a spektakl przejął wtedy Tadeusz Kozłowski, dziś sprawujący kierownictwo muzyczne nowej realizacji.

Jako się rzekło, głównymi bohaterami stali się Don José i Micaëla, którzy zarówno charakterologicznie, jak i pod względem głosów (liryczne odmiany tenoru i sopranu) oraz przeznaczonej im przez kon pozytora muzyki (duet z I aktu oraz ar z dwóch następnych) rzeczywiście bardzi sobie odpowiadali, gdyby ich losy nie prz cięły się z zaborczą i zmienną Carmen, kt rej z kolei sądzony był raczej Escamillo – również wokalnie, ze względu na pokre wieństwo ich średnich głosów (mezzosc pranu i barytonu). Monika Ledzion w pe ni odnalazła się w partii i roli dopiero n drugiej, właściwej dla siebie premierze dając zadatek na być może wytrawn wykonawczynię tej postaci. Szczególni przejmująco zabrzmiała w jej ujęciu ari „z kartami", jedna z najwartościowszyc stronic partytury Bizeta, stanowiąca pro bierz muzykalności oraz umiejętności in terpretacyjnych śpiewaczki podejmujące to wyzwanie. Natomiast partii Escamill nie sprostał ani Słowak Martin Babjak, an Mariusz Godlewski, któremu nie dostaje nieco basowej głębi. Wspomniany Arnold Rutkowski dysponuje mocnym, dobrze ustawionym głosem, którym posługuje się raczej na sposób włoski, śpiewając „pie na voce" nawet tam, gdzie tradycja francuska preferuje falset, jak w przypadku wysokich tonów pod koniec arii „z kwiatkiem". Obydwie wykonawczynie urzekały kulturą śpiewu (zwłaszcza w arii-modlitwie z III aktu — najczęściej dziś wykrzykiwanej), a także lirycznością (w duecie z Josém). Szkoda tylko, że scenicznie trzymano się kurczowo konwencjonalnego ujęcia Micaëli jako „niewinności uciśnionej", zamiast uczynić z niej, za Peterem Brookiem, godną rywalkę Carmen, trzymającą nici intrygi.

Po raz kolejny mamy do czynienia ze spektaklem zainscenizowanym przez demonstratora żywych obrazów (to określenie Alicji Hellman, odnoszące się do narratora *Eroiki* Munka) — np. przywołanej w skrajnych aktach *Rodziny kuglarza* Pabla Picassa (co prawda, jako Katalończyk bardziej pasowałby on do *Nizin* d'Alberta). W trzecim akcie duże wrażenie zrobił błękitny horyzont z rysującym się na nim punktowym księżycem, który dwukrotnie przemieniał się w bliźniacze planety: Plutona i jego satelitę, choć tak naprawdę



Carmen. Foto A. Wrzesiński

aparatura nie była w stanie pokazać jego płynnego przesuwania się po firmamencie i stąd powstał efekt rozdwojenia. W finałowej scenie zabójstwa pojawia się w tle skąpana we krwi projekcja korridy. Denerwująca była całkowita nieobecność reżysera — bez niego opera staje się sztuką wyjątkowo obsceniczną, gdyż pozostawieni sami sobie, bezradni wykonawcy zmuszeni są zdawać się wyłącznie na własną inwencję, a w praktyce — na obiegowe sztampy, składające się na wzajemne i niezależne od płci poklepywanie i obłapianie. W zakończeniu dochodzą jeszcze turyści, co nie jest niczym nowym na krakowskiej scenie operowej, jeśli wspomni się inscenizację innego reżysera o podobnym nazwisku, a mianowicie Wojciecha Adamczyka, u którego w *Rycerskości wieśniaczej* byli oni mimowolnymi obserwatorami i świadkami sycylijskiego dramatu miłości i zazdrości. Kiedy jednak jeden z nich bezwiednie obejmuje śmiertelnie ranną Carmen, która, wysuwając się z jego ramion, upada, to wywołuje tym tylko niezamierzony efekt komiczny. Poza tym w poprzedzającym tragiczny finał duecie śpiewacy przesadnie miotają się po scenie, zamiast poprzestać na sytuacyjnym dramatyzmie wyrażonym środkami wokalnymi. Z poprzedniej inscenizacji przejęto nachalnie palący chór robotnic — ale tym razem palący nie papierosy w cygaretkach, lecz cygara. Swego czasu Sarkis Paradżanian planował w swojej inscenizacji umotywować niedobranie pary bohaterów uczuleniem Josego na przesycony tytoniem zapach ciała Carmen, tu jednak rozwiązanie to nie byłoby uzasadnione.

Co gorsza, zabrakło również dyrygenta, który nadałby całości spójność. Pod batutą Tadeusza Kozłowskiego pięknie zabrzmiały ustępy czysto instrumentalne (antrakt przed drugim aktem, intermezzo poprzedzające trzeci), poprowadzone z dużą wrażliwością brzmieniową i wycyzelowaniem partii solowych instrumentów dętych drewnianych, czego nie da się już powiedzieć o rogach we wstępie do arii Micaëli. Zdecydowanie zabrakło natomiast spektaklowi dramatycznego pulsu, mimo że w Krakowie grany jest on w opracowaniu Guiraud ze śpiewanymi recytatywami w miejsce autorskich mówionych dialogów. Mimo to przemienił się on w suitę solowych numerów muzycznych, tocząc się od jednej arii do drugiej, od duetu do kwintetu, pomiędzy którymi niemiłosiernie dłużyły się recytatywy i sceny zbiorowe. A przecież w pamięci krakowskich melomanów pozostaje wciąż żywe wspomnienie poprzedniej inscenizacji pod batutą panującej nad muzyczną dramaturgią Ewy Michnik, z niezrównaną kreacją Bożeny Zawiślak-Dolnej, dopracowanej w najdrobniejszych szczegółach wokalnej gry aktorskiej, o czym dziś można mówić jedynie w odniesieniu do interpretacji Eliny Garanèy.

Lesław Czapliński

Georges Bizet: *Carmen*.
Kierownictwo muzyczne: Tadeusz Kozłowski. Inscenizacja: Laco Adamik.
Scenografia: Barbara Kędzierska.
Choreografia: Katarzyna Aleksander-Kmieć.
Opera Krakowska. Premiery: 5 i 6 marca 2010.

OPCJE NR 1

2010

2/2

Jedną z licznych imprez towarzyszących tej edycji była Gala Nagród ZKP, podczas której odbyła się promocja płyty znakomitej klawesynistki Elżbiety Chojnackiej. Po trwającej 1,5 godziny uroczystości w atmosferze wzajemnej adoracji - jak to zwykle bywa przy takich okazjach – dodajmy: w dusznej, zatłoczonej ponad granice wytrzymałości, Sali Balowej (z przyległościami) Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich – artystka dała genialny półgodzinny recital, który – choć tak krótki – wynagrodził zgromadzonym męki oczekiwania.

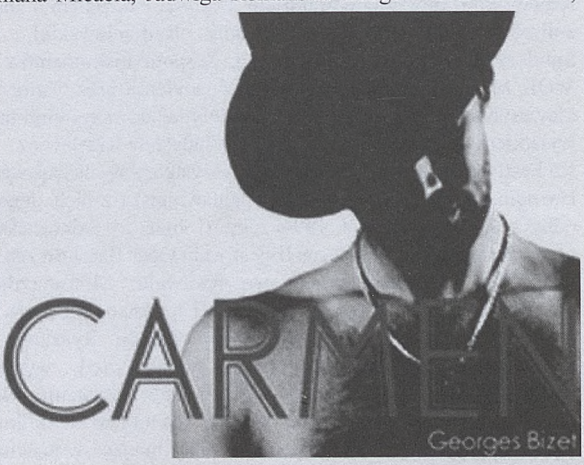
Swoistą kontynuacją wątku słowno-muzycznego WJ był w 2009 roku Festiwal Ad Libitum. Jego IV edycja (po raz drugi w CSW) skupiła się właśnie na związkach między dźwiękiem, słowem, muzyką i teatrem, a jednym z twórców doskonale łączących te wszystkie elementy był John Tilbury, którego adaptacja Becketta otworzyła Festiwal. Ja śledzę tę imprezę organizowaną przez Fundację Polskiej Rady Muzycznej od II wydania (jeszcze w MCKiS) poświęconego improwizacji. Ad Libitum to nie tylko koncerty ale również warsztaty, spotkania i dyskusje Z III edycji pamiętam świetny „wykład" Zygmunta Krauze na temat partytur graficznych oraz jego występ z trzema kolegami w utworach własnych i fantastyczne kolektywne łamanie patyczków (*Sticks*) Christiana Wolffa. W tym roku zaprezentowano m.in. napisany specjalnie dla IV Festiwalu utwór Tadeusza Wieleckiego *Na początku było...* z udziałem syna autora. Na koniec dodam, że dzięki Nowemu Teatrowi, który w listopadzie zorganizował dyrektorowi Wieleckiemu w studiu S1 koncert pt. *Parę słów na nieokreślony temat*, ten wirtuoz kontrabasu przypomniał nam, że kierowanie Warszawską Jesienią to tylko jedno z jego licznych zajęć. Jak wynika z powyższych przykładów (a są jeszcze m.in. grudniowe Portrety ZKP) Warszawa jesienią ma do zaoferowania wielbicielom muzyki współczesnej całkiem spory „asortyment". Tylko brać...

Ewa Tromszczyńska

SMUTNA PREMIERA *CARMEN* W OPERZE KRAKOWSKIEJ

Słowo *smutna* w tytule tej recenzji nie odnosi się bynajmniej do poziomu i oceny przygotowania i wykonawstwa krakowskiej premiery. Jest refleksją sytuacji, jaka towarzyszyła pierwszemu przedstawieniu. Oto bowiem po I akcie niespodziewanie zasłabła wykonawczyni partii tytułowej, znakomita śpiewaczka Małgorzata Walewska. Zastąpiła ją będąca również w obsadzie tej partii Monika Ledzion. Małgorzata Walewska, jak wieść niesie, wróciła już do zdrowia, a krakowscy melomani mają nadzieję na jej udział w dalszych przedstawieniach.

Wróćmy jednak do aktualnej inscenizacji opery Bizeta. Jest to czwarta próba zmierzenia się Opery Krakowskiej z arcydziełem tego kompozytora. Pierwsza miała miejsce w 1965 roku, druga w 1979, a trzecia (funkcjonowała do niedawna) w 1991. Wszystkie te inscenizacje były różne i różne też wrażenia pozostawiły. W pierwszej brylowali Halina Szymańska jako Carmen, znakomity Roman Węgrzyn i niezapomniana Micaela, Jadwiga Romańska. Druga – to Ewa Podleś,



Carmen - *plakat (projekt: Barbara Kędzierska i Laco Adamik)*

Wiesław Ochman, Wincenty Głodek i Alicja Świątek – wspaniale wyrównany zespół solistów! I trzecia – bezbłędna, pełna temperamentu Bożena Zawiślak-Dolny. Różne też były koncepcje inscenizacyjne, wynikające poniekąd i z ówczesnych możliwości i techniki teatru.
Obecną opowieść o miłości, namiętności, zdradzie i tragedii Laco Adamik prowadzi w realiach trochę współczesnych, wykorzystując znakomite wyposażenie techniczne krakowskiej sceny. Akcja jest żywa, scenografia plastyczna, kostiumy ładne. Nie ma tu udziwniania i próby poprawiania libretta. I bardzo dobrze brzmi muzyka Bizeta. Nic dziwnego, bo Tadeusz Kozłowski to bodaj jeden z najlepszych obecnie dyrygentów *kanałowych.* On nie tylko precyzyjnie i pewnie prowadzi orkiestrę, także dba o szczegóły i w jakimś sensie pomaga śpiewakom. Wydaje się, iż przy nim czują się pewnie i swobodnie. Tak było w obu oglądanych przedstawieniach premierowych. W obu partię tytułową zaśpiewała z konieczności Monika Ledzion. Początkowo niepewna, wyraźnie zdeprymowana zaistniałą sytuacją, w akcie III i IV i w całej drugiej premierze była już ujmująca. To przecież bardzo ładny, pięknie brzmiący mezzosopran, swobodny na całej szerokości skali. Artystka jest muzykalna, obdarzona urodą i wdziękiem scenicznym oraz nieprzeciętnym temperamentem. Piękny głos (ciekawa, ładna barwa i brzmienie) zaprezentował młody tenor Arnold Rutkowski. Jego Don Jose był liryczny, namiętny i porywczy. Niewiele ustępował mu Wasyl Grochowski, śpiewak z Ukrainy, od paru lat związany z krakowską Operą i wyraźnie rozwijający swój warsztat wokalny i aktorski. Obie Micaele (Katarzyna Trylnik i Izabela Matuła) stworzyły postać delikatnej, subtelnej dziewczyny. Pierwsza dysponuje miłym, „słodkim" sopranem i sporym doświadczeniem scenicznym. Dla drugiej był to chyba profesjonalny debiut sceniczny, udany, zapowiadający piękną karierę (bardzo interesujący głos!). Niestety, partia Torreadora nie stała sie popisem obu jej wykonawców. Gościnnie występujący Słowak, Martin Babjak, był całkowicie niedysponowany wokalnie i aktorsko. Mariusz Godlewski zaś, choć uwodzicielski i pewny swych wdzięków, dziwnie oszczędnie zaśpiewał swą popisowa arię, pozostawiając wyraźny niedosyt.
Dobrze się stało, iż Opera Krakowska ponownie wprowadziła ten tytuł do swego podstawowego repertuaru.

Bizet, *Carmen*, reż. Laco Adamik, kier. muz. Tadeusz Kozłowski, scenogr. i kostiumy: Barbara Kędzierska, przyg. chóru: Marek Kluza, premiera 5,6.03.2010

Jacek Chodorowski

TRUBADUR
T-VI
2010

HÄNDEL W WOK

Z barokowym pozdrowieniem od Dyrektora Sutkowskiego

Wspaniałym akcentem zakończyły się obchody Roku Haendlowskiego, wieńczące zarazem II Festiwal Haendla w WOK. 19 grudnia, na Zamku Królewskim, zabrzmiało oratorium *Mesjasz*, z udziałem 4 znakomitych solistów: Olgi Pasiecznik, Anny Radziejewskiej, Sylwestra Smulczyńskiego i Jarosława Bręka, Zespołu Instrumentów Dawnych WOK Musicae Antique Collegium Varsoviense oraz Chóru WOK. Od klawesynu włoskiego dyrygował (podobnie jak wszystkimi utworami, z wyjątkiem koncertów kameralnych) Władysław Kłosiewicz.
Na Festiwalu przypomniane zostały wszystkie dotychczasowe realizacje Haendla w WOK, a *Mesjasz* jest najdawniejszą z nich. Jego premiera odbyła się 28 września 1994 roku (i była to jednocześnie polska premiera tego dzieła) podczas II Festiwalu Oper Barokowych, z którego wyłoniły się potem dwa nowe festiwale: Monteverdiego (czy doczekamy kiedykolwiek następnego?!) i właśnie Haendla. *La sacra representazione* pt. *Mesjasz*, w inscenizacji Ryszarda Peryta i scenografii Andrzeja Sadowskiego, została wtedy wystawiona w Kościele Seminaryjnym, z innymi muzykami i solistami. Wielu z nich nadal pracuje w WOK, niektórzy uczestniczyli w kilku różnych wykonaniach, które w międzyczasie miały miejsce w kościołach. Są i tacy, co pamiętają z własnego doświadczenia tamtą pierwszą wersję pod dyrekcją Zbigniewa Gracy i zagrali w tej z 2009 roku, o której piszę.